

Pan Prezydent Rzeczypospolitej Stanisław Wojciechowski podczas odpoczynku na polowaniu.

Jeszcze raz w sprawie żubra.

Rzekł minister do łosia niezmiernie uprzejmie:
Wszystko się przeprowadzi po kolei w Sejmie,
Na wszystko odpowiedni kiedyś przyjdzie czas,
„Lecz wtedy" — łoś mu przerwał — „nie będzie już nas".
Juljan Ejsmond.

Artykuł mój p. t. „Ostatni z rodu olbrzymów", umieszczony w numerze 17-ym z r. z. „Przeglądu i Łowiectwa" dał powód panu J. Dylewskiemu do polemiki i pewnych objaśnień, które wprawdzie b. cenne, bo przedstawiają nam we właściwym świetle mało znane stosunki w Białowieskiej Puszczy, wszakżeż ostatecznej mojej konkluzji, iż należy, iż powinno się rozrzucone resztki wielkiego niegdyś rodu sprowadzić znów do Białowieży nie negują, przeciwnie stanowczo w ostatniem zdaniu potwierdzają. We wspomnianym wyżej artykule, jako i w poprzednich, bo od trzech lat zajmuję się tą sprawą, nie było wypowiedziane w jaki sposób ma nastąpić zaprowadzenie żubrów w puszczy. Miejscowość samą, w której na całym świecie najdłużej się utrzymały z klimatycznych i roślinnych względów (rosnąca tam trawa żubrówka) w tym celu uważać należy za najodpowiedniejszą. Szczegóły inne na razie były zbyteczne, bo chodziło przedewszystkiem o organizację z prywatnej inicjatywy powstałego przedsięwzięcia i zebranie w tym celu odpowiednich funduszów. Ponieważ p. Dylewski jest w wątpliwości co do praktycznego wykonania mojego projektu a możliwe iż podzielają to inni, a przedewszystkiem władza, która dotąd, o ile wiem, w tym kierunku nic nie uczyniła, przeto pozwalam sobie tutaj — pro bono publico — a przedewszystkiem dla ratunku resztek nieszczęsnych niedobitków, projekt mój ówczesny bliżej objaśnić.

Towarzystwo Łowieckie w Białowieży, jako sądownie zap. spółka dzierżawi polowanie, które urząd pań. nadzoruje i ustawy potwierdza, — we wszystkich pięciu nadleśnictwach, przyjmuje łowczego i dziesięciu strażników, — dla każdego nadleśnictwa po dwuch. Nadto przez odpowiednie premje i wynagrodzenia zjednywa sobie jednocześnie i pomoc pań. leśników. W jednym z nadleśnictw w porozumieniu z komisją ochrony przyrody, urządzi projektowany już dawno rezerwat ochronny, którego jądro tworzyć będzie zwierzyniec.

Dodać tutaj należy, iż dwadzieścia lat upłynęło, jak ostatni raz byłem w Puszczy; wówczas znajdował się tam w stylu norweskim zbudowany ces. pałacyk myśliwski, otoczony wysokim częstokołem, za którym kilkadziesiąt żubrów trzymano. Co ze zwierzyńcem tym się stało nie jest mi wiadomem, wszakżeż

ogrodzenie to, jeżeli istnieje, można by zużyć, — jeżeli go niema—inne w to miejsce stworzyć należy i tam zakupione żubry hodować. O trudnościach transportu nie mówię, bo jeżeli przewozi się słonie z Indji i lwy z Afryki, to cóż znaczy schwycenie z zoologicznego ogrodu i przewiezienie żubra ze Śląska lub Budapesztu? W zwierzyńcu muszą być żubry pasione i tam utrzymane tak długo, aż młode pokolenie wzrośnie, przyzwyczai się do naturalnego pokarmu i oswoi się. Skoro ilość żubrów tak wzrośnie, iż w zamknięciu utrzymać byłoby je trudno, natenczas część wypuszcza się na wolność, ale przez urządzenie wspólnych paśników w ogrodzeniu, zmusi się na wolności będące, do trzymania się dłuższy czas zwierzyńca i zwolna tylko przechodzenia w stan zupełnej dzikości. Nadleśnictwo to ze zwierzyńcem, w którymby oddzielnie i inne na wymarciu zwierzęta, jak np. bobry hodować można, byłoby pod specjalną opieką „Komisji ochrony przyrody" a reszta dopiero do wolnej dyspozycji Towarzystwa Łowieckiego. Tam jedynie odbywałyby się polowania i prawidłowy odstrzał pozostałej zwierzyny, a uczestnicy mieliby realną nagrodę za ideowe ofiary.

Ponieważ z czasem rezerwat ochronny przez wędrówki zwierzyny nadliczbowej, zasilałby coraz więcej sąsiednie nadleśnictwa, nagroda dla stowarzyszonych myśliwych za ofiary poniesione w pierwszych latach byłaby z pewnością wystarczającą. Było to nie tylko marzenie, ale rzeczywistość, poparta przez kilkudziesięciu ochotnych i ofiarnych, którzy plan i kosztorys ułożywszy, myśl tą w ciało przeprowadzić postanowili. Dzisiaj zadanie to przeszło na rząd, który Białowieżę oddał jako polowanie reprezentacyjne dla Prezydenta Rzp.

Co znaczy załatwienie urzędowe, gdzie wchodzą inwestycje, choćby najpotrzebniejsze, to my znamy z doświadczenia; albo niema funduszów, albo się wyczerpują przed ułożeniem dachu na budowlę. A czyż jest to wykonać w stanie sama Głowa Państwa? Jestem daleki od tego, abym energję Pana Prezydenta, (którego zdolności dyplomatyczne w wirach partyjnych podziwiać należy), i zdolności wraz z kompetencją w sprawach łowieckich miał zamiar wprowadzać w wątpliwość; ale w tym wypadku nie chodzi o obecnego Prezydenta, ale o Prezydentów Rzp. wogóle. Ci się zmieniają a może na urzędzie znaleźć się i taki, dla którego zwierzyna jest tylko malum necessarium i szkodnikiem leśnym, którego radykalnie tępić należy. I to nie jest wykluczone.

Głowa Państwa ma jeszcze jedno polowanie w Spale w pobliżu stolicy, które nie tylko dla reprezentacji Prezydenta, ale nawet polującemu tam całe tygodnie carowi Wszechrosji wystarczyło, byleby je tylko fachowo zagospodarować i do przedwojennego stanu doprowadzić i teraz wystarczyć powinno. A Białowieżę pozostawić należy prywatnym staraniom.

Co może zdziałać prywatna inicjatywa, praca i energja, tego najlepiej dowodzi zwierzyniec poznański, którego położenie i stan fauny w r. 1919 był zupełnie identycznym z Puszczą Białowieską. I tam najcenniejsze okazy jak np. egzotyczne drapieżce wyniszczały zupełnie a budowle chyliły się do upadku. Magistratowi miasta Poznania, który był właścicielem i nosił się już z myślą zlikwidowania jedynego w Polsce zoologu, opatrznościowo przyszła z pomocą i ratunkiem energja p. dyrektora Sylwestra Urbańskiego i ogród zoologiczny w Poznaniu nietylko istnieje, nietylko bez pomocy finansowej miasta lub rządu przetrwał ciężką tegoroczną zimę, nietylko odnowił podupadłe kjoski, ale jednocześnie zwierzostan dokompletował, tak że znów dosięgnął czasów najświetniejszego rozwoju. W przeciągu niespełna roku przybyły lwy, białe niedźwiedzie, bengalskie tygrysy, tapiry, hieny, mrówkojady, małpy w licznych odmianach, razem sprowadzono z zagranicy do Polski w ciągu dwuch lat kilkaset okazów fauny. Wszystko z prywatnej inicjatawy; — a przecież pan Urbański nie jest reprezentantem Rzeczypospolitej i nie strzela do sprowadzonych przez siebie lwów i niedźwiedzi.

A żubry?...

Dyrekcja ogrodu zoolog. interesowała się nawet żubrami i zaofiarowane jej przed kilku miesiącami przez p. Beyme — Charków 5 sztuk za 1800 dolarów chciała odstąpić ministerstwu lasów i dóbr państw., wszakżeż nie doczekała się odpowiedzi.

Tymczasem resztki niedobitków ryczą po europejskich zwierzyńcach a widmo białowieskie zawsze jeszcze czeka audjencji w przedpokoju ministerjalnym, list zaś zoologicznego ogrodu poznańskiego na odpowiedź. Żubrami zwykłym śmiertelnikom zająć się nie wolno, a żubry niech czekają — mają czas...

Czyż nie przypomina się tutaj Mazur, który pluje w miskę, nie mogąc sam zjeść wszystkiej strawy?...

Nie wiem jakie są projekty p. Jerzego Dylewskiego co do sanacji stosunków łowieckich w Puszczy Białowieskiej, nie wiem czy są identyczne z mojemi, to wszakżeż jest pewne, jeżeli się organizację ich nie pozostawi prywatnej inicjatywie, ostatni żubr nie tylko przemówi wierszem poety naszego Ejsmonda, ale w rzeczywistości przejdzie do historji.

Wł. Janta - Połczyński.

URYWKI Z MYŚLIWSKIEGO PAMIĘTNIKA.

1920 Grudzień. Jak zły sen minęła zawierucha bolszewicka, chmury, które tak czarno nad całą Polską się skłębiły, skoro już pierzchać poczęły, tak szybko się rozpierzchły! I wróciliśmy do naszych zniszczonych majątków, do naszych domów rozbitych, jakeśmy już tyle razy — my wschodni małopolanie — do nich wracali. I wzrastało przywiązanie do ziemi, do lasu, do kniei.

To też wcale nie czekałem późnych w tym roku mrozów i śniegów, aby odwiedzić moją knieję i odszukać w niej najdostojniejszego jej mieszkańca — dzika. Towarzyszem — że tak powiem — naturalnym mej wyprawy był mój szwagier Józef Jabłonowski, a w myśl mej zasady: nie ilość; lecz jakość pomyślałem o pewnym jeszcze tylko starym, nietyle wiekiem ile doświadczeniem, myśliwym; był nim Ed-

ward Münter. Nie polowałem z nim nigdy, lecz Józio mi wiele o nim opowiadał. Spotkanie go na ulicy uznałem za wskazanie św. Huberta. Spragnionego kniei niemało me zapytanie ucieszyło. W niedzielę 28-go listopada w południe pierwszy stawił się na dworzec i opowiadał mi, iż rano zbudził się z taką studencką radością, że aż się córki jego dziwiły. Józiowi nadchodzącemu szeroko roztworzył ramiona. Pośpieszny pociąg sprawnie mknął do Stanisławowa, lecz oczekujący nas tam osobowy stał jeszcze pod znakiem wojny. Tłum oblegał wagony trzecioklasowe — innych nie było — i tylko dzięki uprzejmości urzędnika kolejowego, który bronił przedziału dla nas przeznaczonego, usiedliśmy. Ponieważ most kolejowy w Wiśniowie, mej właściwej stacji, był zburzony, musieliśmy na dalszej stacji wysiąść, w Komarówce, późnym już wieczorem; uskuteczniliśmy to wojennym trybem przez okno, przyczem ofiarą padła szyba ku niemałemu przerażeniu pozostałych pasażerów, przed którymi stanęła groza nocy zimnej a długiej. Bystro toczył się wózek po doskonałym gościńcu, mogło być 1 lub 2 stopnie ciepła, para buchała z gniadoszów, i mieszała się z mgłą, która szara w tajemniczem świetle niewidzialnego księżyca jednostajnie ciążyła nad wzgórzami. Dwadzieścia i parę kilometrów było do pokonania i dużej trzeba było cierpliwości, aż nam z daleka zaświeciły ciepłe okienka plebanji. Dom mój po przejściu przezeń Petlurowców i bolszewików bez okien i drzwi prosił dopiero o remont, więc obszerne probostwo doskonale nas przytuliło.

Poniedziałek wstał ponury, jesienno wilgotny. Polować mieliśmy w poblizkiej części lasu „Pohoryta“, kilkuset morgowej przestrzeni świerków wieku między 20 a 30 lat. Na linji prócz nas trzech i leśniczego stanął strzelec Józia z foksem, który miał pokazać, czy ma powołanie na dzikarza. I rzeczywiście jakby zamówiona wnet przesunęła się obok pieska pojedyńcza sylweta grubego dzika, lecz on, choć nieznanem zjawiskiem zaciekawiony, nie objawił ochoty podążenia za niem. Tymczasem ja usłyszałem przed sobą miłe odgłosy, bo ostrożne rechtanie i fukanie podejrzliwe i wszystko, czem się zapowiada zbliżające się stado. Gdy w gąszczu przedemną przeskoczyła przez wązką wyciętą przezórkę gruba sztuka, dałem strzał z Mausera repetyera; niestety zgórowałem. Dziki te na linję nie wyszły. Wykonaliśmy obrót i nagonka popędziła miot odwrotny. Ledwo ruszyła, lis mi się ukazał w przezórce i susem wrócił w gąszcz; nie próbowałem strzału w oczekiwaniu dzików. Po miocie zastałem Józia na jego stanowisku w stanie z rozpaczą graniczącym; oglądał swą broń. A był to śliczny nowo nabyty i nowy dryling, precyzyjnie wykonany i strzelający, uosobienie składności z lufą kulową do bezdymnego naboju 9.3 mm. Cieszył się nim poprzednio, a nawet zaczepiał Müntera, iż ten posiadając również broń bezdymną przytem nie zaniechał jeszcze dymnego ekspresa 450 roboty Nowotnego. Lecz teraz już o tem mowy nie było, po doświadczeniu takiem, iż, gdy lis swobodnym truchtem przemierzał linję, a strzelec doskonale go w pół uchwycił—kula w lufie pozostała, bo broń zawiodła! Utrata pewnej już rudej zdobyczy nie była jeszcze nieszczęściem, ale wprost katastrofą były zburzone horoskopy na cały długi dziczy sezon. Bo o inną dobrą kulową broń trudno w tych czasach! Münter mając do ironji rozległe pole milczał szlachetnie. Trzeci miot Pohoryty tylko lisem nas obdarzył przez leśniczego zabitym — choć przywiązywałem doń nadzieję, gdyż rok temu dał kilka spotkań z dzikami. Po tym miocie przeszliśmy przez głęboką debrę, za którą, spuszczając się do niej, leżały działy Fastowy. Wzięliśmy obiecujący miot dolnej Fastowy, nie było tam świerczyny, lecz liściasty dziesięcioletni młodnik, tak, że strzał do zdążającej w dół zwierzyny był dogodny — choć jarek strzelca od niej dzielił. Na stanowisku Józia padły trzy strzały, nerwowe, pospieszne. To w ślad za kulą ekspresową, po której dzik nie padł, Józio wysyła z luf gładkich dwie kule Brenecka i trzema pociskami znaczony za debrą o kilkadziesiąt kroków od strzelca legł spory wycinek, wagi 85 kg. z nim wróciliśmy do domu, gdyż miot piąty, jeden z górnej Fastowy — nie zawierał szlachetnej zwierzyny.

Programem wtorku był rewir „Polańskie“, daleka doń prowadziła droga, dziesięciokilometrowa, wprawdzie piękna, gdyż ciągle jarem Koropczyka i wzdłuż tej rzeczki idąca, ku której z obu stron lesiste zbiegają pagórki, lecz w swej połowie tak kamienista i nierówna, iż rozkoszowania się krajobrazem nie dopuszcza prawie. Inaczej, gdy jest sanna, ale tej oczywiście nie było. Zachodząc na stanowiska, wszędzie spostrzegaliśmy robotę czarnych ryjów. A wbrew temu i wbrew temu, że w tych właśnie miejscach przed wojną się roiło od dzików, nie spotkaliśmy dzisiaj żadnego! A widok ich tutaj byłby ładny, bo las niezbyt gęsty, przeważnie trzydziestoletnia dębina zrzadka świerczyną przetykana. Ku końcowi pierwszego miotu lis mi się pokazał i zaraz wtył się rzucił, lecz zdołałem go jeszcze kulą sięgnąć. W drugim miocie Münter usłyszawszy szelest złożył się i gdy lis wytknął ku niemu łebek, nie bawiąc się w kulowe sztuki solidnie śrutem z drylinga go położył. Słusznie potem zauważył, że wielu myśliwych tem błądzi i moc zwierzyny traci, iż składają sie do strzału dopiero przy ukazaniu slę jej. Wzięliśmy trzeci miot, lecz już tylko zające starały się czas nam skrócać. Niepogoda zmusiła nas, zniechęconych już, do przerwania łowów.

Deszcz, który pod wieczór ustał, w środę nad ranem znów rozsnuł się z nieba ołowianego jesienny, zimny, posępny. Nie wyjechaliśmy do lasu, a gdy niebo już mniej rzewnie płakać poczęło, wyszliśmy ze strzelbami, aby i dwór spustoszony obejrzeć i do celu postrzelać. Mieliśmy też śrutówkę ze sobą — spuszczeniem kilku dalekich gawronów zadziwiliśmy Müntera — poważnych kniejowych myśliwych nie trudno w dziedzinie śrutu zadziwić. W południe deszcz ustawać się zdawał i pojechaliśmy na wzgórze Pokoryty. Lecz, gdy nielicznie na poczekaniu zebrana naganka ruszyła, znowu deszcz się rozpadał; bardziej smętnego, błotnistego, bezcelowego polowania nie pamiętam w Koropcu; jeden mi się tylko ukazał zając zmoknięty, zły, iż go w taki czas ruszają. Po dwuch godzinach uciekliśmy z lasu i w dół zjeżdżając gościńcem jeszcześmy koni popędzili ku suchym naszym pokojom, ku ciepłu, ku światłu. I mimo niepociesznego przebiegu łowów jakżeż miłe były wieczory, gdy pod jasną lampą okrągły stół nas gromadził; a księży samowar jakąś moc czarodziejską w sobie tail, taką tryskał herbatą, jakiej n

przedtem ni potem już nie piłem i nie prędko wypuszczał nas ze swego władztwa. Płynęła rozmowa, duszą jej był Münter; kto od pół wieku strzelbę za najmilszego ma towarzysza, kto od pół wieku patrzy na knieję, na zwierza, na myśliwych — i tylu myśliwych, ten w swych opowiadaniach może być niewyczerpanym. Więc my młodsi słuchaliśmy ciekawie i z pożytkiem, bo wspomnienia, naprzykład z rykowisk, których dość odbył na takim terenie jak Skola, wspaniałym były wykładem wyższej sztuki łowieckiej. I rozstawaliśmy się pokrzepieni nadzieją lepszego spotkania nazajutrz.

(D. n.). *Stefan Badeni.*

KAPELUSZNIK.[1]

Wielu go znało,
daleko i blisko,
A dziwne swoje i znane nazwisko
dużej narośli zawdzięczał na głowie
już osiwiałej.
Było to w połowie
drugiej, miesiąca łowów, listopada.
Śnieg od dni kilku już wisiał nad ziemią.
Drużyna łowców czekała nań rada,
Wiedząc, gdy jutro zawita ponowa,
To dzik się w kniei nieznany nie schowa.

Na szczytach nagich i brodatych dębów
Wrony śnieg czując napuszone drzemią.
W gąszcz się zaszyła zwierzyna ze zrębów.
Nawet lisiura sznuruje do jamy.
Śnieg już prószy! — ponowa! — jutro się spotkamy!

Polecenia wydane.
Brydż wcześnie skończony.
Samowar przestał syczeć,
Więc każdy strwożony
o siłę oka i o pewność strzału,
musnąwszy rączki paniom wychodził pomału,
odpocząć albo marzyć na jawie pół śniący.
Ponowa!...... komora!...... szablami kłapiący....
...... Odyniec!

Las jak piękna kobieta z płaszcza roztulana,
osnuty w puchy śniegu, wstawał z mroków rana.
A my nie mieszcząc radości swej w duszy,
by niemy przerwać zachwyt płynący z tej głuszy,
zanuciliśmy piosnkę.

Sanie cicho sunęły, przez gąszcze dróżkami,
na których tu i owdzie znać już było ślady
niekształtnych butów Dmytra za tropami...
Stał też przy trakcie dymiąc dużą fajkę.
I widocznie pomyślne były jego zwiady,
bo nas ujrzawszy splunął, fajkę schował,
sople z wąsów oderwał, kuczmę[2]) uniósł z głowy,
uśmiechnął się i zaczął jakby jaką bajkę
opowiadać, gdzie dziki i jak je tropował
„Kapelusznik
z niesamowitej[1]) Fediowej dąbrowy
nad „hadżene ozero" [2]) — w świerczynie zaszyty, —
a cała chmara w sośninie „pry młaci" [3]),
pojedynek srokaty ten bez jednej raci
w „łuzi"[4]), locha zaś w buczynie
z siedmioma warchlakami
o siódmej godzinie
zaszła. Tuż za jej śladami
znowu odyniec".

Zamilkł Dmytro. Dwururkę ściągniętą drutami.
przycisnął do kożucha i czekał rozkazu.
Wpierw Kapelusznik! W trop Iwan z Zagrajem!
Ty Dmytro nas rozstawisz, więc pojedziesz z nami!
Iwan jak zajdzie popędzi odrazu!
Ja zaś będę podchodził na skrzydle za łajem.

Szliśmy za Dmytrem nie mówiąc ni słowa.
On zaś wskazywał gdzie zostać należy.
Czasem przystawał, wpatrywał się w chmury,
śledził trop lisa jeszcze całkiem świeży.
Wreszcie ostatni — gdzie kępa świerkowa
stanął i trąbką dał znak krótki zgóry.

Jeszcze większą się stała cisza w białej kniei.
Każdy z nas słyszał serca swego bicie,
Sztucer opatrzył i pełen nadziei
w gąszcz spojrzał, czy się może skrycie
nie wysunie odyniec.
Zagraj krótko przyciął.
Lecz wnet głosem podążał przedemną na skrzydło.
Tam stał Dmytro. Spojrzałem: celował
długą chwilę spokojnie, jak gdyby rachował
dzikowi żebra . . . .

[1]) Kapelusznik nazwa miejscowa starego odyńca z powodu dużej brodawkowatej narośli na czole.

[2]) Kuczma, — duża barania czapka.

[1]) niesamowity—mająca wspólność z djabłem.

[2]) Hadżene ozero — jezioro wężów.

[3]) pry młaci — przy podmokłej łące.

[4]) W łuzi — łuk — wikliny nad wodą.

Strzał huknął! Dymu sina chmura
rozeszła się. Miast Dmytra ujrzałem straszydło
bez kuczmy, w ręku dymiąca się rura,
prawą się żegnał i patrzył zdumiony
w świerkową kępę, gdzie kulą zwalony
legł Kapelusznik.

Krzyknąłem: Dmytro co ci?..... „Dzik zabity!.....
Cud panie!..... a wierzyłem......
że niesamowity!"

Stanisław Woszczyński.

Podanin 20 grudnia 1923.

CIETRZEW.

(*Dalszy ciąg*).

Naśladować głos cietrzewia można najlepiej nizkim gwizdem, zachowując specjalną intonację i rytm. Rozpoczynając to bulgotanie, które mu przychodzi z pewnym wysiłkiem, cietrzew jąka się czas długi, powtarzając bez końca pierwszą strofkę, aż wreszcie uda mu się pierwsza pieśń, za nią idzie druga, już pewniejsza i wykonana z mniejszym wahaniem, a w końcu ptak rozśpiewa się tak, że zwrotka idzie za zwrotką bez przerwy.

Głos ten jednak ma ciekawą właściwość. Oto, słyszany z bardzo blizka jest, jak już rzekłem, słaby i nikły, a im dalej, tem się staje wyraźniejszy i ostrzejszy. Najwyraźniej brzmi z odległości $^1/_2$ — 1 klm., a niekiedy przy dobrych warunkach, a zwłaszcza gdy ptak siedzi na drzewie, słyszeć się daje na odległość 3 — 4 klm. Bulgotanie przerywa się od czasu do czasu, ptak wyprostowuje się i czuszuszyka, drgając przytem nastrzępionemi skrzydłami i opuszczając nieco ku dołowi zadarty w czasie bulgotania szeroko rozpięty wachlarz.

Toki odbywają się przeważnie zbiorowo i im więcej jest cietrzewi w okolicy, tem większa ilość kogutów zbiera się na tokowisku. Ptaki wybierają zwykle na tokowisko miejsce dość otwarte, zatem polany leśne, pagórki wśród błot, przyległe do lasu i krzaków pola. Niekiedy znów, zwłaszcza na północy, tworzą się tokowiska na zamarzniętych jeszcze otwartych błotach, pokrytych gładką, jak stół, taflą szarego lodu, albo na czystych mszarnych bagnach, zrzadka porosłych karłowatą sosną.

Tam jednak, gdzie liczba cietrzewi jest ograniczona, tokują one nieraz pojedyńczo, trzymając się dość pilnie swego obrębu, a niekiedy i bardzo określonego miejsca. Również i w okolicach, obfitujących w cietrzewie i posiadających licznie uczęszczane toki, trafiają się koguty tokujące samotnie i nie zbliżające się do ogólnych godów.

Skoro tylko na tokowisku zbierze się kilka kogutów, nastrój toku się podnosi, ptaki nabierają animuszu, czuszykają częściej, a gdy tok rozpali się na dobre, to zaczynają się bić i czubić między sobą. Do największego jednak napięcia dochodzi tok wówczas, gdy zjawi się na nim płeć piękna.

Cieciorki przychodzą na tok później, wówczas, gdy już w zorzy porannej zabłysną tony żółte, zamiast pierwszych niebieskich i białych. Podlatują cicho z boku i zwykle piechotą przybiegają na tok, oznajmiając swe przybycie śpiesznem wysokiem kwokaniem, zdala słyszalnem.

Do tokowiska podlatują też młode zeszłoroczne koguty, które nie umieją jeszcze bulgotać, a tylko czuszykają, plączą się po tokowisku, czubią się niekiedy i zbliżają ukradkiem do kur.

Tokowisko w czasie punktu kulminacyjnego przedstawia widok nad wyraz ciekawy. Koguty grupują się po kilku, uganiając się za sobą, bijąc się z głośnym łopotem i podlatując w czasie namiętnego czuszykania na parę metrów w górę. Niektóre bulgocą, stojąc nieruchomo w jednem miejscu, inne biegają i drepcą wkoło drobnemi kroczkami. Niekiedy tworzą się całe kłęby zczepionych ze sobą bijących się ptaków, leci pierze, wydzierane przeważnie z głowy i szyi, albo szczęśliwy rywal, uchwyciwszy przeciwnika mocnem dziobnięciem za brew czerwoną, ciąga go niemiłosiernie po placu boju. Kury zachowują się bardzo skromnie. Siedząc z boku na ziemi albo na drzewie, przypatrują się zapasom, wdzięczą się kokieteryjnie, muskając pióra zgrabnym ruchem szyi, lub kwokają delikatnie. Potrochu jednak wchodzą w środek tokowiska i pozwalają na zbliżenie się kogutów.

Zapładnianie następuje zupełnie tak samo, jak u kur domowych i ma zwykle miejsce przed samym wschodem słońca. Nieraz się zdarza, że z nadającej się okazji korzysta właśnie młody kogut, odpędzany przez stare, podczas gdy te ostatnie zajęte są walką i tokiem. Tu miewa wyraźne zastosowanie przysłowie, mówiące o tym trzecim, który korzysta.

Ze wschodem słońca zapłodnione cieciorki odlatują z tokowiska, by znieść jajo.

Stan pogody ma bardzo wielki wpływ na przebieg i intensywność toku. Najlepszy tok bywa w ciepłe i ciche pogodne ranki, gdy złota jutrzenka rozpala się przeczystym rumieńcem na niebie bez chmurki, a zwłaszcza jeżeli dnie takie wypadają na pełnię księżyca. Wówczas to zdarza się, że tok rozpoczyna się zaraz po północy, przy jasnem świetle księżyca i z małemi przerwami trwa 9 — 10 godzin.

(D. c. n.). *Włodzimierz Korsak.*

Głuszce na Pomorzu.

I.

Na polowaniach zimowych na dziki nad Bałtykiem dostałem od pana r. Ż. jednego z najprawidłowszych myśliwych jakich znam, miłe zaproszenie na przyszłe toki głuszców na Kaszubach. Już z końcem marca odebrałem listowną wiadomość, że głuszce zaczynają grać i mam być w pogotowiu. Z niecierpliwością oczekiwałem tej chwili, nadeszły święta, lecz ani szynka, ani kiełbasa, ani inne przysmaki wielkanocne nie smakowały mi tak jak w inne lata, bo myśli moje błądziły gdzieś tam pod Kartuzami. Nareszcie po kilku dniach telegram od pana r. Ż.: „głuszce tokują, proszę przyjechać". Kilka godzin później już siedziałem w pociągu i wczesnym rankiem, było to właśnie w niedzielę, przybyłem do Gdańska.

W pociągu nastąpiło umówione rendez-vouz z panem r. Ż. i przejechawszy przez piękne okolice kaszubskie, znaleźliśmy się w kilka godzin później już za Kartuzami w nadleśnictwie M. serdecznie witani, mile i gościnnie przyjęci przez tamtejszego nadleśniczego pana T. Jedno z pierwszych moich pytań było w sprawie toku głuszcy, pan nadleśniczy przedstawił nam tamtejsze polowanie jako dość trudne, głuszcy coprawda tokuje kilku—lecz przeważnie na błotach i to zupełnie nizko na sosnach karłowatych tam rosnących; zaznaczył to, że dotychczas —za polskich rządów—jeszcze ani jeden głuszec tam nie padł, a kilku zagorzałych myśliwych polujących odjechało z niczem. Słysząc to pomyślałem sobie w duszy: „no, zobaczymy".

Po spożytym obiedzie w gościnnym domu państwa T. udaliśmy się powózką do rewiru G. i zakwaterowawszy się w tamtejszej leśniczówce u leśnika p. H. wyszliśmy zaraz do lasu, aby zaznajomić się z terenem. Tokowisko jest zaledwie kilkaset kroków od leśniczówki odległe i odbywa się przeważnie jak już powyżej wspomniałem, w tak zwanem wysokiem bagnie (Hochmoor). Jest to w tym rodzaju jedynie może bagno w całym byłym zaborze pruskim, około 50 ha porosłe tylko pojedyńczymi brzozami i sośniną — karłami kilkodziesięcioletnimi, osiągającemi najwyżej 2 do 3 metrów wysokości. Bagno pokryte jest kilka metrów grubym pokładem torfistego mchu przesyconego wodą. Przy ewentualnem podskakiwaniu trzęsie się cała okolica i drzewa na niej stojące, co prawdopodobnie udziela się także głuszcom na drzewie siedzącym i powoduje przedwczesny odlot. Na tem widocznie polega trudność tamtejszego polowania—bo głuszce przeważnie tokują na bagnie a wyjątkowo tylko na graniczących z bagnem olbrzymich sosnach. Podsłuchy wieczorne były bez rezultatu i następnego poranku już o godzinie 2-ej w nocy byliśmy z panem r. Ż. na przedtem oznaczonych stanowiskach, lecz wyraźnego toku przypuszczalnie dla zmiany powietrza nie było. Przechodząc spacerem drogą w lesie widzieliśmy dużego koguta, który zerwał się o kilka kroków z kultury i mieliśmy sposobność w całej pełni podziwiać tego królewskiego ptaka. Gdy na drugi dzień o drugiej w nocy wyjrzeliśmy oknem, deszcz lał jak z cebra a huragan dął tak silnie, że uważaliśmy za stosowne tego poranka pozostać w domu, bo choć przy takim powietrzu głuszce tokują to ich się oczywiście nie słyszy. Mój towarzysz polowania pan r. Ż., zmuszony był już tego dnia rano odjechać do Poznania, i mnie niepogoda dała się tak we znaki, że postanowiłem pojechać do Gdańska i doczekać lepszej pogody. W Kartuzach na dworcu z żalem pożegnałem pana r. Ż. tracąc tak zacnego i miłego towarzysza, z którym się tak dobrze zawsze rozumiemy.

W Gdańsku odszukałem bawiących tam krewnych pułkownika P. z żoną. Deszcz lał dalej i nic ani miłe towarzystwo, ani w dostatecznej ilości wypity „machandel" nie był w stanie wypogodzić mojego zachmurzonego oblicza.

Na drugi dzień przebudziły mnie już późnym rankiem promienie słoneczne prosto mi na twarz padające. W jednej chwili byłem na nogach i następny tak zwany kurjer kaszubski wiózł mnie uradowanego znowu do leśniczówki w głębokim lesie ukrytej.

Zastałem tam pana nadleśniczego T., który się także wybrał na toki—nocowaliśmy razem przez dwa dni a pan T., były oficer legjonów, okazał się bardzo miłym towarzyszem. Późno w noc gawędziliśmy ze sobą, pomimo że następnego dnia już o drugiej rano trzeba było być na nogach. Zachodząc w czwartek rano jeszcze o ciemności na miejsce podsłuchu spłoszyłem koguta zasiadłego na drzewie nad ścieżką o wiele bliżej jak to poprzednio wieczorem twierdzono. Może się późno wieczorem przesiedlił. Nie chcąc ewentualnie dalszych płoszyć usiadłem sobie nad rowem, w tem nadlatuje inny kogut i zasiada w odległości 50 kroków na czubku sosenki. Siedział dłuższy czas jak posąg, po chwili dopiero zaczął się rozglądać. — Ponieważ było jeszcze porządnie ciemno nie spostrzegł mnie, choć siedziałem niczem nie zakryty cal po calu zbliżałem fuzję do twarzy, lecz strzelać do głuszca nie tokującego nie chciałem, no i odległość też trochę zadaleka, fuzję opuściłem na dół i wtenczas miałem czas dokładnie mu się przyjrzeć jak obierał od czasu do czasu pączki sośniny, nareszcie gdy już się jasno zrobiło po mniejwięcej pół godzinie odleciał razem ze stadem kur. Nie opuściwszy naturalnie wieczornego podsłuchu udałem się na drugi dzień znów o drugiej rano w okolicę gdzie wieczorem stwierdziłem zapadające głuszce. Stoimy już może z pół godziny, naraz leśniczy p. H., który mi towarzyszył trąca mnie, z początku nic nie słyszałem, dopiero po chwili uchwyciłem uchem słabe klapanie koguta, zaczął grać na dobre i podczas drugiego szlifowania zaczęliśmy go podskakiwać coraz dalej w bagno. Naraz w ciemnościach noga wpadła w dziurę napełnioną wodą i częściowo jeszcze lodem, wtem głuszec przerwał śpiew—ruszyć się nie można—nareszcie po dziesięciu minutach głuszec zaczyna znowu grać i przy pierwszem szlifowaniu wyciągam szczęśliwie nogę z wody i posuwam się o dwa kroki naprzód. Tego koguta podskoczyliśmy na jakie 60 kro-

ków, lecz już skończył śpiew i z kurami odleciał; na zbyt daleką odległość zaczęliśmy go podskakiwać, na jakieś 500 kroków. Ponieważ już na niedzielę rano naznaczyć musiałem koniecznie mój wyjazd nadzieja ubicia głuszca coraz więcej malała.

W wolnych chwilach błąkałem się z leśnikiem p. H. po lesie i mogłem stwierdzić, że p. H. jest dzielnym leśnikiem zamiłowanym gorąco w swej kniei i posiada niemało fachowych wiadomości, zaś co do życia głuszcy tokujących dużo się od niego nauczyłem. Spotykaliśmy też często w lesie dużo trujących żmij — jednego dnia zabiliśmy trzy, a widzieliśmy znacznie więcej. Pokazywał mi też dokładnie miejsce, gdzie, jako jeszcze wówczas uczeń leśny w roku 12 czy 13 był świadkiem, gdy były następca tronu pruskiego ubił przypadkowo głuszca (wagi 7$^1/_2$ funta), który na brzegu gołaźni niespodzianie zasiadł na ziemi i zaczął zaraz tokować. Żona pana H. także starała się zadowolnić kulinarne potrzeby podczas mego tygodniowego pobytu, a jak się raz wygadałem, że opiszę całe zdarzenie w „Łowiectwie Polskiem", to dodatkowo jeszcze do podwieczorkowej kawy, wielki półmisek jajecznicy ze skwarkami wjeżdżał na stół, co mnie wprawiało w niemały kłopot. Tak nadeszła już sobota rano no i nareszcie wieczorem leśniczy podsłuchał zapadającego głuszca na jednej z olbrzymich sosen w pobliżu bagna. Ja również z mego stanowiska słyszałem zapadające głuszce na bagnie. Wybraliśmy do podchodu na następny i to już ostatni poranek właśnie tego, który w wysokim drzewie zapadł i jak zwykle o godzinie 2-ej w nocy zbliżyliśmy się po cichu do niego na jakieś 150 metrów natężając następnie słuch na każdy najmniejszy szelest. Zaledwo po kwandransie chwyta mnie leśniczy kurczowo za rękę i szepce mi do ucha „Panie, zaczyna" i rzeczywiście zaczął klapać z początku bardzo po cichu — potem głośniej i częściej, a po chwili przeszedł już do właściwego śpiewu, grał żywo raz po razie i tak podskoczyliśmy do niego już dość blizko szukając go oczyma. Zauważyłem w środkowych gałęziach olbrzymiej sosny jakiś przedmiot, który się troszeczkę poruszył —ukryty przypadkowo za krzakiem jałowca skierowałem natychmiast drżącą ręką moją starą wypróbowaną dwunastkę nabitą śrutem 4 milimetrowem na koguta, nie widząc w ciemności muszki wycelowałem po lufie i na odległość mniej więcej 40 kroków, podczas następnego szlifowania wypaliłem. Po strzale kogut zakręcił się mocno na gałęzi, lecz nie zleciał, w oka mgnieniu strzeliłem raz jeszcze z lewki i po tym strzale kogut, w pochyłym locie spadł na bagno. Nie mogąc w ciemności go zaraz szukać usiedliśmy sobie pod drzewem, zapalili papierosa i jak tylko się trochę rozwidniło z niemałym trudem odszukaliśmy go, bo leżał wciśnięty w dołek na bagnie jakieś 50 kroków od drzewa. Wspaniały okaz — wagi jak później stwierdziłem 13 funtów. Mimowoli nasunęły mi się w myśli słowa niemieckiego poety: „Dem haben Diana und Venus gelacht, Der den Auerhahn schoss in der Frühlingsnacht" i z trudem tylko zdołałem stłumić w sobie okrzyki radości.

W kilka chwil później byliśmy już w leśniczówce gdzie z głośnemi objawami radości zakropiliśmy ważność chwili resztą przywiezionego z Gdańska „machandla".

Po godzinie już wózek kaszubski unosił mnie i w gałązki świerkowe opakowanego głuszca na pociąg dążący do Poznańskiego.

Wspaniałe trofeum po spreparowaniu zajęło honorowe miejsce w moich zbiorach myśliwskich i często przypomina mi te miłe i szczęśliwe chwile przeżyte na kaszubskiej ziemi.

Myśliwym Cześć!

J. Jachimowicz.

Polowanie z puhaczem z budki i szałasu.

Najwięcej rozpowszechnione polowanie z puhaczem z budki na ptaki drapieżne jest w Niemczech, a szczególniej w księstwie Schwarzburg-Sondershausen, które może być uważane za kolebkę tego bardzo zajmującego sportu. Nigdy zapewne polowanie szałasowe nie osiągnie tak wysokiego stopnia rozwoju, jak podczas panowania ks. Günthera Fryderyka Karola I, który będąc sam namiętnym myśliwym szałasowym, rozkazał urządzić na każdej prawie odpowiedniej do tego górce swego księstwa, wroni szałas.

Już w wieku XVI w książce: „Myślistwo ptasze" Mateusz Cygański wspomina o polowaniu z puhaczem, którego można zastąpić przez sowy lub puszczyki.

O odpowiednich sposobach niszczenia szkodników upierzonych mówiono już nieraz w fachowych pismach. Niektórzy utrzymują, że więcej można osiągnąć za pomocą koszyka jastrzębiego, pułapek, żelaz i okruchami trucizny, aniżeli za pomocą szałasu z puhaczem. Ale rzeczą jest bezsporną, że z puhaczem nieraz zastrzeli się bardzo ciekawą i rzadką zdobycz, a przy tem polowanie to jest połączone z wielką przyjemnością, obserwując zachowanie się puhacza przy różnych napastnikach. Wszędzie zdarzają się nieudane polowania i tak też bywa przy polowaniu z szałasu. Często przy najnormalniejszej pogodzie przy południowo-zachodnim wietrze ptaków jest cała masa, ale żaden nie chce atakować. Z jakiego to może być powodu — dotąd jest nierozwiązaną zagadką. Wogóle można powiedzieć, że taka pogoda, jak wyżej wymieniona, przedstawia najwięcej szans, ale spotykamy pod tym względem najrozmaitsze zjawiska. Często przy niesprzyjającej pogodzie udawałem się do szałasu z bardzo rzadką miną, jak daleko oko sięgnie nie widać żadnego ptaka, a jednak ledwo puhacz siadł na barjerze ze wszystkich stron zlatywały się ptaki. Według mego zdania, w każdym większym rewirze polowania na równinie, szczególniej jednak przy

bażantarniach, oprócz różnych pułapek nie powinno brakować nigdy szałasu.

Najwydatniejszym pozostaje zawsze polowanie podczas przelotu, a ten przypada na sierpień, wrzesień do listopada włącznie. W czasie martwego sezonu, podwójnie pożądany przelot wiosenny, zaczyna się w końcu lutego, kończy się jednak prędzej jak wędrówka jesienna; zwykle ustaje on już w ostatnich dniach marca. Jako dowód z jaką zawrotną szybkością drapieżne ptaki, szczególniej sokoły, przelatują przestrzenie, niech posłuży fakt historyczny, że islandzki sokół do polowania (Falco Candicans), który uciekł z Fontainebleau królowi francuskiemu Franciszkowi I, już następnego dnia, został złapany na wyspie Malcie i odesłany królowi, zmartwionemu stratą drogocennego białego sokoła.

Wiele ptaków podczas swych podróży zatrzymuje się dłuższy czas, inne, rzadsze, tak zwane „dobre ptaki“, ciągną w przyśpieszonym tempie.

Niektóre rodzaje trzymają się jeśli już nie określonego dnia, to określonego tygodnia każdego roku, do swych podróży. Dowodem tego jest fakt, iż jeden ze zwolenników tego polowania, zabił trzy egzemplarze ptaka dotąd nieznanego w Niemczech, mianowicie stepowego myszołowa (buteo desertorum) podczas 3-ch dni września w roku 1869, 1870 i 1871 w różnych szałasach w okolicy Sondershausen. Większość drapieżnych ptaków urządza swe podróże zależnie od warunków pogody, gdyż stworzenia te przy pomocy swych nadzwyczaj czułych zmysłów, przeczuwają te warunki na długo naprzód. Jeżeli ciąg ptaków rozpoczyna się wcześniej jak zwykle i pokazują się w naszych strefach ptaki z dalekiej północy, których się u nas w tym czasie nie widuje, to znaczy, że na północy dalekiej nastały wczesne silne mrozy, głęboki śnieg i przedewszystkiem, że nastąpił brak pożywienia z tego zaś można wnioskować, że i u nas będzie wczesna i surowa zima. Napoleon byłby dobrze zrobił, gdyby we wrześniu roku 1812 był zwrócił swą uwagę na przedwczesny odlot północnych ptaków. Jakby ostrzeżenie, pośpieszyły one na południe, a cesarz pozostał w Moskwie na zgubę swoją i swej armji. Wpływ na kierunek drogi, którą obierają ci podróżnicy powietrzni ma spotkanie chomików, myszy, szarańczy, skoczków i t. p. Zwierzęta te stanowią podczas przelotów ptactwa wielką część pożywienia naszych drapieżnych ptaków. Podczas wylęgania drapieżne ptaki i wrony zupełnie ignorują puhacza. Uczęszczanie więc do szałasów w tym czasie pozostaje zwykle bez rezultatu. Jak do pewnego i dobrego strzelania można dojść tylko przez ciągłe ćwiczenia się na polowaniu, tak też potrzeba dłuższej praktyki do tego, ażeby poznać wszystko, co dotyczy polowania z szałasu i sposobu strzelania przez mały otwór, jak pewnym strzałem położyć trupem drapieżnego ptaka z błyskawiczną szybkością atakującego puhacza. I tutaj trzeba mieć na oku wielką różnorodność, albowiem każdy rodzaj posiada swą indywidualną szczególność zachowania się w stosunku do puhacza. Co do znajomości rodzajów, to należy podziwiać, jaka pod tym względem panuje ignoracja wśród sfer od których możnaby oczekiwać zupełnie czego innego. Ile razy niejeden drogocenny ptak pod nazwą zbiorową „ptak drapieżny” zostaje wyrzucony na śmietnisko!

Puhacz.

Puhacz (Strix bubo) jest przy polowaniu szałasowym najważniejszą osobistością. Nie jest rzeczą bezwarunkowo niezbędną używanie go w stanie żywym, jednak polowanie z wypchanym puhaczem stanowi tylko połowę przyjemności, chociaż większość ptaków atakuje go tak jak żywego. Jeden z moich znajomych kazał sobie zrobić z dwóch myszołowów, swego pseudo-puhacza, przy pomocy którego zastrzelił wiele ptaków między innymi 2 sokoły drzewne (falco subbuteo), które zwykle są dosyć ostrożne. Słyszałem też zdarzenie, że jastrząb kurołap wybił wypchanemu puhaczowi jedno ze szklanych oczów, innym znów razem jeden z myszołów uniósł głowę wypchanego puhacza, co dowodzi, że mimo ostrożności ptaków drapieżnych, można polować z wypchanym puhaczem lub jego imitacją. Jednakże tego rodzaju polowanie można porównać do polowania na kuropatwy bez psa; traci się niejednego drapieżnika, którego możnaby upolować przy żywym puhaczu, albowiem ten ostatni przy pomocy swego niepomiernie ostrego wzroku widzi wroga z odległości, gdzie najlepsze oko ludzkie nic nie zobaczy. Przez zerwanie i wykrzywianie się wskazuje on doświadczonemu i ostrożnemu myśliwemu, że tam wysoko coś się dzieje; im bliżej jest wróg, tem niespokojniejszym staje się puhacz. Trzeszcząc posuwa się na barjerze potężnemi pazurami to w jedną, to w drugą stronę ciągle obserwując oczami swego wroga i kiedy ten atakuje, nadyma się upierzeniem tak, że stanowi nieforemną masę. Radzę każdemu, kto pragnie rozrywki i dobrego rezultatu w szałasie, ażeby się postarał o żywego puhacza, dwu lub trzyletniego samca. Samiec różni się od samicy, jak to się spotyka u wszystkich ptaków drapieżnych, mniejszym rozmiarem, a także i kolorem, który u samca wpada w gliniasto-żółty, podczas, gdy samica jest więcej czerwonawo-brązowego koloru; oko ma samiec żółte, samica zaś pomarańczowo-czerwone. W Niemczech jest obecnie puhacz dosyć rzadkim ptakiem. Złapanie go na gnieździe musi być uważane za nadzwyczajną rzadkość. Jednak wszystkie handle zwierząt były dobrze zaopatrzone w puhacze i przed wojną sprzedawali żywego po 30 — 40 marek za sztukę. Jeżeli radzę kupować 2 lub 3 letniego puhacza, to czynię to dlatego, że młodsze ptaki zdychają często i łatwo podczas pierzenia się. Dostają nawet bardzo łatwo dyfterytu. Wogóle wymaga się dobrego i uważnego obchodzenia się z puhaczem. Przy dobrem obchodzeniu się i odpowiedniem pomieszczeniu, może żyć w niewoli często dziesiątki lat. Z wiekiem jednak staje się mniej wrażliwym na napady swych wrogów, dlatego jest więcej pożądany młody puhacz niż stary. Co się tyczy pomieszczenia, pożywienia i obchodzenia się z puhaczem, to niezbędne jest dla niego pomieszczenie, które powinno mieć 1 — 1,5 metra sześciennego, osłonięte od deszczu, bez przeciągów, lecz dostępne dla czystego powietrza i nie wystawione na słońce. Klatka powinna mieć barjerkę poprzeczną grubości na 7 — 9 cm do siedzenia; grzęda ta jest koniecznie potrzebna. Jest mi znany fakt, iż bardzo zdrowy i żywotny puhacz zdechł, gdyż wskutek niedbalstwa dozorcy musiał w zimie stać w wilgotnym własnym pomiocie wskutek czego od-

mroził szpony i marnie zginął. Jeżeli grzęda jest za cienka, to puhacz może łatwo dostać kurczów w szponach, czego zawsze uniknąć można przy podanej grubości grzędy. Dno klatki powinno być posypane świeżym, suchym piaskiem i codzień należy usunąć pomiot i resztki jedzenia puhacza. Czy należy dawać puhaczowi wody, jest to bardzo sporna sprawa, słyszałem o puhaczu, któremu nigdy nie dawano wody i który wiele lat służył, podczas gdy dwa inne, które były bardzo troskliwie pielęgnowane, karmione i dostawały wody — zdechły. W każdym razie ostrzegam przed dawaniem puhaczowi twardej wody, rzeczna lub deszczowa woda zdaje się być dla puhacza najodpowiedniejszą. Co się tyczy jedzenia puhacza, to muszę zaznaczyć, iż może on długi czas znosić głód, jednakże należy tego unikać, ażeby on niepotrzebnie głodował, a trzeba zaopatrywać regularnie dzielnego towarzysza polowania w uwłosioną i upierzoną zwierzynę. Mówię uwłosioną i upierzoną zwierzynę, gdyż włosy stanowią część pokarmu tego ptaka. Tylko w ostateczności można go karmić zwykłym mięsem (płuca, wątroba i t. p.) potrzebną do trawienia temu ptakowi krzemionkę znajdzie puhacz w wyżej wymienionym piasku, którym jest dno klatki wysypane. Codzień wronę lub kawkę, raz na tydzień dać królika, wiewiórkę, chomika, ze dwie myszy polne. Powtarzam jednak jeszcze raz, zanim dostanie coś świeżego, powinno się usunąć wszystkie dawne resztki jedzenia. (D. c. n.)

Zygmunt Kubicki.

Wiosenne polowanie na kaczory.

Jedną z najmilszych odmian polowania na kaczki, jest wiosenne (kwietniowe) polowanie na szukające wrażeń miłosnych kaczory, uwijające się w niezliczonej ilości ponad wielkiemi przestrzeniami wód po wiosennym ich rozlewie.

Powracające wiosną zastępy kaczek w poszukiwaniu miejsc na przyszłe gniazda, rozlokowują się wśród zeschłych trzcin, szuwarów i krzaczków, szukając w nich kryjówki przed okiem drapieżnika.

Płeć brzydka, chcąc odnaleźć swą przyszłą żonę krąży, zazwyczaj wysoko w górze, a wspaniały wzrok i słuch daje możność z odległej wysokości łatwo odnaleźć miejsce pobytu, wabiacej przyszłego męża swem kwakaniem kaczki.

Człowiek potrafił wykorzystać ten sposób zalotów i zapał miłosny, który corocznie tysiące kaczorów opłaca życiem. Ukrywając się o ile można z łódką wśród jakiejś kępy, szuwarów, wikliny lub krzewu, myśliwy wypuszcza na czystą wodę specjalnego gatunku wytresowaną kaczkę „krzykuchę“ przywiązując ją za łapkę na sznurku, do wbitego w dno jeziora specjalnie w tym celu przygotowanego kołeczka, nie dając w ten sposób możności kaczce odpłynąć dalej poza promień długości sznurka odgrywającego rolę wiązadła. Pływająca „na czystem“ w celu łatwiejszego spostrzeżenia jej przez kaczora kaczka, „krzycząc“ bez przerwy, zwabia szybujących w górze konkurentów, którzy, zniżając się ku wabiącej ich zdradzieckiej narzeczonej, padają nieostrożni od strzału ukrytego w pobliskich zaroślach myśliwca.

„Krzykuchy“ czyli lepiej „wrzeszczki“, (która to nazwa pochodzi od słów „krzyk“ lub „wrzask“) są to kaczki, rasa których powstała ze skrzyżowania dzikiej kaczki ze swojską. Forma i opierzenie tego gatunku kaczek zupełnie przypominają krzyżówki, lecz są nieco mniejsze od nich. Charakterystyczną cechę tych kaczek oprócz zamiłowania do krzyku stanowi nadzwyczajna łaskawość; po uwolnieniu przez myśliwego z uwięzi po ukończeniu polowania, kaczka zazwyczaj sama stara się wskoczyć jaknajprędzej do łodzi, do swego koszyczka, w którym ją przywieziono, jak gdyby obawiała się, aby ją nie pozostawiono na wodzie, gdzie może dosięgnąć ją zemsta za tyle zdrad i przewrotności, dzięki którym bardzo wielu jej galopantów w dniu jednym życie oddało.

Tego sposobu polowania bardzo rozpowszechnionego na Kresach Wschodnich nie spotykałem nigdzie w innych częściach kraju.

Inżynier *Zygmunt Zakrzewski.*

Na Dalekim Wschodzie.

(Dokończenie).

VI.

Z Gańdżara wyjechaliśmy koło godz. 4 po południu. Ponieważ, stosownie do marszruty, wracać mieliśmy nie na Chajtar, ale na Cagan, rozstaliśmy się przeto z dotychczasowym przewodnikiem— chińczykiem, a wzięliśmy nowego, burjata, który zamarudziwszy na jarmarku, dopędzał w tym kierunku partję owiec, zakupionych przez jego chlebodawcę, kupca z kraju Zabajkalskiego.

Po spędzeniu nocy nad małą studzienką, ukrytą wśród wzgórz piaszczystych, puściliśmy się w dalszą drogę. Pogodny, choć chłodny dzień obfitował tym razem bardziej niż poprzednie we wrażenia myśliwskie dzięki temu, iż nie będąc nagleni żadnym terminem, mogliśmy więcej czasu rozrywce tej poświęcić.

Przedewszystkiem poraz pierwszy spotkaliśmy się z jedynym w Mongolji gatunkiem antylopy (Antilope gutturosa), zwanej tu „dzere-dzere“ (w zachodniej części Mongolji noszą one nazwę „dżejszu“).

Dużemi stadami, po 100—200 sztuk, widzieliśmy wielokrotnie piękne te płowe stworzenia, pasące się w oddali. Wszystkie jednak starania nasze by podejść je bliżej spełzały na niczem. Brak jakichkolwiek wzniesień na równym stepie czynił niemożliwem skradanie się, a próby okrążania antylop na koniu nie prowadziły również do celu, gdyż stado pierzchało przedtem, zanim odległość się dostatecznie zmniejszała.

Wobec tego urządziliśmy rodzaj naganki. Jeden z kolegów wraz z przewodnikiem zatoczyli duże koło i poczęli napędzać antylopy na nas. Stado rozbiło się na kilka części i 4 antylopy przebiegły w odległości 150—200 kroków, ale z tak szaloną szybkością, że nie było sposobu wziąć je na cel. Kilka strzałów danych do nich pozostało bez skutku.

Spróbowaliśmy przeto strzelania do stada na odległość 500—600 kroków ze sztucerów, na komendę. Próby robione kilkakrotnie efektu widocznego nie dawały: stado rozpraszało się po każdej salwie we wszystkie strony, nie pozostawiając na placu ofiary. Strzelanina ta nie pozostała jednak bez skutku. Po jednej z takich salw usłyszeliśmy wkrótce strzał za nami, a wślad zatem ujrzeliśmy pędzącego ku nam co koń wyskoczy kozaka, konwojującego nasz wóz. Okazało się, że jedna z antylop w stadzie otrzymała postrzał i w ucieczce wpadła na naszą arjergardę. Widząc słaniające się i potykające zwierzę, dwaj kozacy popędzili za niem i celnym strzałem zabili.

Była to piękna samica bez rogów, wielkości sporego kozła, o jednobarwnie płowej, krótkiej szerści.

Wkrótce potem natknęliśmy się na stado dropi. Wypróbowanym już uprzednio sposobem poczęliśmy je okrążać, kryjąc się za konie. Udało mi się istotnie podjechać do nieco zaniepokojonych, ale nie zrywających się jeszcze do lotu ptaków na kroków 150. Złożyłem się dobrze z za konia i strzeliłem, pewny będąc dobrego skutku, tymczasem dropie odleciały najspokojniej. Okazało się, że zapomniałem opuścić wizjer przy sztucerze, ustawiony na 600 kroków przy strzelaniu do antylop, i, naturalnie, zgórowałem.

Nie opuścił mię pech i przy następnem spotkaniu z dropiami. Pod osłoną pagórka podpełzałem do stadka i kiedym już naszykował winchester do strzału i miałem podnieść głowę ponad wzniesienie, skrywające ptaki, spłoszył mi je orzeł. Dropie odleciały, a orzeł po niefortunnym napadzie usiadł na pobliskim kamieniu. Zemściłem się na drapieżniku, kładąc go celnym strzałem na miejscu. Był to ładny okaz „Aquila nobilis“, których obok „A. amurensis“ jest tu dość dużo.

Po dniu jasnym nastąpiła noc gwiaździsta, ale chłodna. Nad ranem temperatura spadła poniżej zera i wszystko pokryte zostało białą szadzią. Przekonało nas o tem miłe uczucie zmiatania śniegu z poduszki przy każdem poruszeniu głowy. Trzeba też było widzieć jak żwawo szło o świcie ubieranie się w tych warunkach!

Na popas południowy zatrzymaliśmy się koło stożkowatego wysokiego kopca, na którym wedle słów przewodnika — burjata, miał stać ongi namiot wielkiego Dżengis-chana, panując nad obozem, rozłożonym na równinie. Istotnie, kopiec bardzo prawidłowej, stożkowatej formy, ze ściętym wierzchołkiem, czynił wrażenie góry sypanej, a podanie to nie stoi w sprzeczności z historją, gdyż stąd rzeczywiście wyruszył Dżengis-chan na podbój świata.

Na małem słonem jeziorku w pobliżu udało mi się wziąć parę stepowych kaczek-norówek (Anas tadorna), odznaczających się tem, że gnieżdżą się w norach, wygrzebywanych nieraz daleko od brzegu wody.

Aczkolwiek do Caganu było dość daleko, postanowiliśmy jednak dotrzeć tam jeszcze tegoż dnia, gdyż perspektywa spędzenia drugiej nocy na mrozie niebardzo się nam uśmiechała. Popędzaliśmy przeto nasze mongoły, ale noc zapadła przedtem, nim wstąpiliśmy w piaski, otaczające stację na dużej przestrzeni. Ze trzy godziny błądziliśmy wśród nich, coraz to tracąc ślad drogi, aż wreszcie kozacy, wysłani przodem na zwiady, przynieśli radosną wiadomość, że widać ognie stacji.

Istotnie, wkrótce z wysokiego wzgórza piaszczystego ujrzeliśmy w dali zielone światełko semaforu i latarnie stacyjne. Po upływie pół godziny zeskakiwaliśmy już z koni przed rzęsiście oświetloną stacją, a niebawem dobijaliśmy się do naszego wagonu, oczekującego nas tu od tygodnia.

Zaspany, ale uradowany z przyjazdu naszego Iwan krzątał się wkrótce koło samowara, a myśmy myli się, zmieniali bieliznę i przeistaczali znowu w europejczyków—po tygodniowem życiu nomadów.

Józef Gieysztor.

Przygotowanie pokarmu dla sztucznie hodowanych bażantów.

Praca pod powyższym tytułem, umieszczona w Nr. 22 „Przeglądu Myśliwskiego“, wprowadziła mnie w prawdziwe zdumienie.

Jakkolwiek każda myśl twórcza winna znaleźć odzwierciadlenie w odnośnej prasie fachowej, przedstawiony przez p. M. Nowakowskiego sposób przygotowania pokarmu dla sztucznie hodowanych bażantów, wobec nowych zdobyczy wiedzy na polu hodowli bażantów, nie posiada najmniejszego znaczenia.

Na podstawie dłuższej praktyki i lustracji bażantarń z ramienia Polskiego Związku Myśliwych, inni, wyniosłem doświadczenie. Na tem to doświadczenie oparty sposób hodowli bażantów (w ogólnym zarysieu przystosowany do zmienionych warunków gospodar)

czych, przedstawiłem w Nr. 11 roczn. IX „Łowiectwa Polskiego“.

Wydaje się mocno prawdopodobnem, że skreślając swoją rozprawkę posługiwał się autor podręcznikiem hodowli bażantów Goedkego, zmieniając jedynie stylizację. Jest to dziełko zbyt stare, pokryte grubą warstwą pyłu na półkach bibljotek myśliwskich.

W rozumowaniu p. N. zachodzi poważne pogmatwanie. Rozpatrujmy jego rozprawkę od początku.

Rozwodzi się autor o jakimś twarogu, nazwanym przez siebie „femlikiem“; przez pierwszorzędnych zaś bażantarników niemieckich, autorów podręczników hodowli bażantów, „fanclem“. O twarogu jest wzmianka jedynie w dziełku „Bażant łowny“. C. Cronau, gdzie znajduje się w miejscu właściwem, stanowiąc jedynie część składową pokarmu. Pozatem proszę o podanie źródła wyrazu „femlik“; nie znalazłem go w żadnym leksykonie.

Gdy odbywałem praktykę leśno-łowiecką w latach 1910/11 w Poznańskiem, kiedy sztuczna hodowla bażantów znajdowała się w pełni rozkwitu, sam brałem udział w przyrządzaniu „fanclu“.

Zakładając w roku 1914 samodzielnie bażantarnię na Wołyniu (w majątku Hołownica; w czasie wojny doszczętnie zniszczonym), na własne ryzyko zaniechałem przyrządzania różnych „fanclów“, czyli właściwie jajecznicy. Karmiłem pisklęta bażancie według recepty ogłoszonej w Nr. 11 „Łowiectwa Polskiego“, przyczem rezultat wypadł nadspodziewanie dobry. Zdobyłem wtenczas poważny atut w celu zaniechania starych wadliwych metod przyrządzania pokarmu, czyli, że chcąc sztucznie hodować bażanty, nie potrzeba stosować sposobów zalecanych przez bażantarników starej daty, a polegać na doświadczeniu zdobytem w nowszych czasach.

I Cronau wypowiada się krytycznie o „fanclu“ pisząc: „Ten ostatni jest najgorszem i nawet szkodliwem pożywieniem, a pochodzi z dawnych czasów, kiedy jeszcze do karmu dodawali ziarnko pieprzu i specjalnie wykadzano bażantarnie“.

Wspomina autor o jakimś aparacie do rozdrabiania pokarmu. Dla niewtajemniczonego jest to niezrozumiałe, co jest „aparatem do rozdrabiania“ pokarmu. Niezawodnie autor miał na myśli maszynkę do tarcia bułki do kotletów wiedeńskich lub mięsa, której dawniej bażantarnicy używali. Ponieważ przyrządzony z mleka i jaj „fancel“ tworzy masę lepką, rozdrabnia się ją zwykłym tasakiem lub tasakiem kolebaczem na kruszynki.

Dalej czytamy o podawaniu karmy bażantom w miseczkach. Jest to w najwyższym stopniu wadliwe. Podaje się wprawdzie bażancikom w miseczkach — lecz tylko wodę. Przy sztucznej hodowli kardynalnym warunkiem jest ułatwienie pobierania pokarmu w pierwszych dniach życia pisklęcia, a temu zadość nie czyni zastosowanie miseczek. Nawet pisklętom kur domowych (trzy razy większym od bażantów) nie podaje się karmu w miseczkach, podając go raczej na ziemi, co jedynie odpowiada ich przyrodzonym właściwościom jako ptaków grzebiącym. Zarówno w przezemnie zaprowadzonych jak i we wszystkich bażantarniach, które zwiedzałam, podają pokarm na deseczkach.

Wreszcie rozpisuje się autor o jakimś „pokarmie dla bażantów“. O karmieniu bażantów ryżem w ciągu mego żywota wogóle nie słyszałem. Czem zastąpić proso (według rady p. N.) na zachodnich rubieżach Polski, gdzie go zupełnie nie sieją? Pozatem z jakiego zboża kaszę bierze się do przyrządzania „pokarmu dla bażantów“?

Nakoniec jeszcze jedno. O mięsie z prerji w dzisiejszych czasach niema wogóle mowy. Przedewszystkiem dawniej sprowadzano specyfik ten z Niemiec, dziś chyba na to nie można sobie pozwolić.

Usus est magister optimus.

A. Szyba.

Pies myśliwski.

(*Dokończenie*).

Ostrowłose wyżły niemieckie. Ostatnio niemcy zwrócili się do psów ostrowłosowych, stickelhaarige Vorstehhunde. Hodowlą tych psów, prawdopodobnie spokrewnionych z gryfonami wogezkiemi zajął się francuz Bontemps dopiero około r. 1868. Chów jego był prowadzony rozumnie, gdyż te gryfony choć nie są jeszcze zupełnie ustalone, jednak stoją daleko wyżej pod względem przymiotów myśliwskich niż ich bracia przyrodni. Są to psy zmyślne i sympatyczne. Zasadniczą cechą uwłosienia, różniącą ich od gryfonów Picard, jest możliwie jaknajwiększy zanik wąsów i brwi. Psy te posiadają pod ostrym włosem mięki puch, który zrzucają na wiosnę, co sprawia, że są odporne w równym stopniu na ciepło i zimno, a przeto i mniej się męczą niż inne psy niemieckie.

Gryfon Korthalsa. Do pewnego stopnia psami niemieckiemi można też nazwać gryfony Korthalsa, zwane tak od nazwiska bogatego holendra, który się ich hodowlą w Niemczech zajmował. Podkład do swej rasy sprowadził Korthals z Francji w postac gryfonów francuskich, które hodował w czystości rasy, poprawiając je trochę pointerem. Gryfony Korthalsa są długowłose o maści białej w bronzowe lub żółte łaty. Psy te w polu sprawiają się dobrze i przewyższają inne gryfony również w Niemczech wyhodowane.

Jamnik. Ściśle z niemcami związany jest współczesny nam jamnik t. zw. Dachshund. Rasy jamników były już znane w czasach egipskich, widzimy bowiem ich wizerunki na freskach z przed 4000 lat Opierając się na nich Keller uważa, że jamniki są boczną skarlałą i zdegenerowaną gałęzią grupy chartów. Pogląd ten jednak nie zawiera, zdaje się, przekonywającej słuszności. Jamniki są zapewne skarłowaciałą formą gończych, na co wskazywałoby wielkie do nich podobieństwo oraz te same skłonności i zdolności myśliwskie. Nadmierne skrócenie nóg, a właściwie wygięcie na zewnątrz kości promienio-

wej (radius) w przedramieniu — jest potwornością ustaloną przez dobór. Studer mniema, że współczesne nam jamniki niemieckie są wytworem powstałym dzięki krzyżówce gończych niemieckich z terrierami (zapewne krótkonogiemi). Dosyć silnym dowodem, przemawiającym za pochodzeniem jamników i bassetów od gończych jest to, że jamniki niemieckie są rażąco tak pod względem budowy (z wyjątkiem nóg), jak też maści zbliżone do Laufhundów niemieckich, gdy bassety—do takichże gończych francuskich.

Jamniki są niemal wyłącznością Niemiec i właściwie są to jedyne zupełnie szlachetne psy myśliwskie, jakie ten naród posiada. Dzielą się na krótko, długo i ostrowłose, różniące się jedynie jakością włosa. Są to pieski przeznaczone do polowania podziemnego i w braniu lisów są niemal niezastąpione. Budowa jamników jest tak charakterystyczna i wszystkim znana, że chyba jej opis można pominąć. Zaznaczę tylko że głowa powinna być wydłużona, o ostrym nosie z małym garbikiem.

Szczęki muszą się roztwierać b. szeroko. Uszy taks posiada osadzone dość wysoko z tyłu głowy; są one długie, zaokrąglone przyczem brzeg ich przedni zawsze przylega do policzka. Dobry ogon jest u jamników krótkowłosych ważną cechą rasy; powinien on być dość długi, zakończony szydłowato, elastyczny i porośnięty bardzo krótkim włosem. [1]).

Maść bywa o różnych odcieniach: ceglasta, czarna, bronzowa lub bura z podpalaniem, albo też trójbarwna: na popielato-siwym tle łaty ciemne: popielate, ceglaste lub czarne z mocnym podpaleniem. Wzrost jamników w kłębie 18 — 22 ctm. Waga od 7 — 10 klg.

Basset. Bassety są to psy tego samego rodzaju co jamniki tylko pr chodzące od większych odmian gończych a przeto używane do gonienia zwierzyny. Niemieckie bassety c. Dachsbracke pochodzą od gończych niemieckich Bracken i różnią się od jamników tym, że są większego wzrostu, do 38 ctm. głównie dzięki temu że posiadają one nogi przednie proste. Właściwą ojczyzną bassetów jest Francja. Używane są tam one zarówno do szczucia drobnej zwierzyny (zajęcy), jak też i lisów, a nawet sarn. Są większe i masywniejsze jeszcze od Dachsbraków. Francuzi wytworzyli 8 odmian bassetów w drobiazgach tylko, różniących się między sobą. Oto ich poczet:

a) krótkowłose: 1) ardeńskie (największe), 2) gaskońskie, 3) Lanei, 4) Le Coutelx oraz 5) artezyjskie (Artois) powstałe z krzyżówki dwóch ostatnich.

b) ostrowłose: 1) francuskie, 2) wandejskie, 3) bretońskie. Prócz bassetów istnieją jeszcze do polowania podziemnego basseto-gryfony, jak nazwa wskazuje mieszańce bassetów z gryfonami. Anglicy nie posiadają swoich jamników ani też bassetów. Tłumaczy się to tem; że rolę tych psów odgrywały tam z równym powodzeniem terriery, których istnieje kilkanaście odmian.

Ażeby zakończyć ten pobieżny przegląd psów myśliwskich należy omówić jeden jeszcze nieznany u nas prawie wcale typ psa, mianowicie: *spaniela.*

Spaniel. Spaniele są potomkami dawnych psów hiszpańskich długowłosych, tylko nieco zdegenerowanemi, co się w ich skarłowacenlu wyraziło. Wyhodowane i ustalone zostały przeważnie w Anglji, służą one do wyganiania ptactwa, za pomocą szczekania, z krzaków, bujnych traw lub też trzcin nadwodnych; przyczym wcale się od nich wystawiania nie wymaga. W takich razach psy te są bardzo praktyczne, pozwalają bowiem nie posługiwać się wtedy wyżłem, którego się chroni od niechybnego zepsucia. Spaniele ze względu na przystosowanie podzielono na lądowe i wodne; prócz tego powstał podział w zależności od wzrostu: większe spaniele zwano springerami (skoczkami), mniejsze zaś cockerami (kogutami). Z tych, do polowania w gąszczach wybierano najmniejsze karłowate sztuki. Polowanie ze spanielami A Sztolcman opisuje w następujący sposób: „Psy przyucza się od młodości okładać blizko myśliwego, na 26 a najwyżej na 40 kroków, a po wystrzale kłaść się lub powracać do nogi. Na polowaniu zwykle zawiesza się spanielowi mały lecz głośny dzwoneczek, ażeby myśliwy zawsze wiedział, gdzie się pies znajduje. Prócz clumberów, które są nieme, inne spaniele, znalazłszy trop, biegną po nim, wydając od czasu do czasu głos, uprzedzając nim myśliwego, ażeby się zbliżył i był gotów do strzału.

Podniósłszy ptaka, spaniel goni go głosem, dopóki nie straci z oczu. Na łąkach zarośniętych, długiemi a wązkiemi szlakami łoziny, w której lubią przebywać przelotne słonki, wzdłuż rozpowszechnionych na zachodzie gęstych żywopłotów, w których kryją się kuropatwy, myśliwy może chodzić po otwartych miejscach, nasłuchując tylko, gdzie bobruje spaniel i wylatujące ptaki swobodnie strzelać. Tak samo można polować na kaczki, derkacze i kurki wodne wzdłuż trzcin zarastających brzegi jezior, stawów lub morskich zatok, gdyż wszystkie spaniele doskonale bobrują po trzęsawiskach i pływają“.

Prócz tego spaniele są użyteczne przy strzelaniu bażantów w parkach i mają wielkie zdolności jako aporteur'y. Z podanego opisu widać do czego musi być przystosowana budowa spanieli. To też są to przeważnie pieski niewielkie, ale krępe i silne, na krótkich nogach, zaopatrzonych w mocne okrągłe łapy; obdarzone są niezłym wiatrem i mają dobrze rozwinięte szczęki (przystosowane do aportowania). Ze względu na swój mały wzrost spaniele nietylko są używane do polowania, ale służą również, jako psy pokojowe. Tutaj zajmiemy się tylko rasami myśliwskiemi. Mimo, że istnieje kilka odmian tych psów, są one jednak stosunkowo mało zróżnicowane. To też głównie maścią i wzrostem się różnią.

Sussex. Nie od rzeczy chyba będzie, gdy podam standart najtypowszego i zarazem bodaj najstarszego spaniela *sussex*, do którego mniej lub więcej będą się inne zbliżały. Hr. Henry Bylandt podaje następujące cechy charakterystyczne dla spanieli sussex.

Głowa: duża, kwadratowa, masywna lecz niezbyt krótka, o wyglądzie raczej ciężkim niż ordynarnym.

Czaszka: Długości średniej i dosyć szeroka, z rowkiem pośrodku, łuki nadbrwiowe dosyć rozwi-

[1]) O taki ogon u jamników trudno. Bardzo rasowe psy rodzą się często z ogonem grubym lub porośniętym zbyt długim włosem od strony dolnej. Przyczyny tego szukać należy zapewne w licznych krzyżówkach jakie mogły zachodzić między jamnikami krótko i długowłosemi. Reguła Mendla doskonale to zjawisko tłumaczy na mocy cech recesywnych ukrytych, które przy nieodpowiednich łączeniach na jaw wychodzą.

nięte, guz nad czołem widoczny, lecz nie wystający, załamanie nosa dobrze rozwinięte.

Morda. Kwadratowa, powinna mieć długość 7 i pół ctm.

Oczy: Koloru orzechów włoskich.

Nozdrza: Koloru wątroby, otwarte.

Wargi: Nieco zwisłe.

Uszy: Duże, owalne, osadzone dosyć nizko, lecz nie na tyle jak u spanieli czarnych polowych; zwisające wzdłuż policzków i porośnięte delikatnym i falistym włosem.

Szyja: Dosyć krótka, lekko wygięta, lecz nie wznosząca głowy zbyt wysoko ponad poziom grzbietu, bez podgardla, lecz sierść tworzy na niej rodzaj kołnierzyka.

Łopatki—skośne. *Pierś*: głęboka, szeroka i okrągła, szczególnie za łopatkami.

Grzbiet i krzyż — długie i muskularne.

Korpus: Nizki, długi, prosty i silny.

Nogi przednie: Przedramię o dobrej kości i dobrze umięśnione, kolana i napięstki szerokie i silne.

Łapy, bardzo krótkie i silne o tęgiej kości; mogą być lekko skręcone w przedramieniu i są dobrze owłosione.

Nogi zadnie: Nie powinny być krótsze od przed nich ani też zbyt wygięte w stawach skokowych, szynki muskularne. Łapy są dobrze owłosione, lecz porośnięte krótkim włosem idąc w górę.

Stopy: Duże i okrągłe, obrośnięte między palcami krótkim włosem.

Ogon: ucięty 13—18 ctm. osadzony nizko i noszony na przedłużeniu linji grzbietu; ubrany gęstym i długim włosem.

Sierść: Bujna, długa i lekko falująca bez tendencji do skręcenia, dosyć dobrze sfrędzlowana na łapach i ogonie, lecz krótka po nad stawami skokowymi.

Maść: Złocisto-kasztanowata. Wysokość 32 do 40 ctm.

Norfolk-spaniel. Największe ze wszystkich spanieli lądowych są narfolki. „Norfolk-spaniel“ stoi na stosunkowo wysokich nogach. Maść biała w kasztanowate lub czarne łaty.

Black Field Spaniel. Najmłodszą zaś rasą spanieli są polowe czarne (Black Field-Spaniel) zbliżone do sussexów, choć różnią się od nich głowami, kt. są wązkie, wydłużone, o wydatnym guzie czołowym i z bardzo nizko osadzonemi uszami. Maść jest kruczo-czarna, choć inne Field Spaniele (nie Black) posiadają maść różnorodną. Jedyną rasą nie angielskiego pochodzenia są klumbery (Clumber Spaniel) odznaczające się tym, że goniąc ptaki nie wydaje głosu, są więc zwane niememi. Zostały sprowadzone w połowie XVIII wieku z Francji przez Księcia New-Castle do zamku, Clumbur. Maść śnieżysto biała w łaty cytrynowe lub mocno żółte.

Cocker Spaniel. Najmniejsze z pomiędzy spanieli lądowych są cockery czarne (Black Cocker Spaniel). Mają stosunkowo dłuższe nogi od innych spanieli i krótszy korpus. Są b. ruchliwe. Powstały z dawnych cockerów przez krzyżowanie z małemi pokojowemi spanielami King Charles, Istnieją odmiany kockerów i innych maści.

Irlandzkie spaniele. Wszystkie wymienione dotąd przez nas spaniele są lądowe. Z wodnych istnieje właściwie jedna odmiana bardzo się od wyżej wymienionych odcinająca, mianowicie spaniele wodne irlandzkie (Irish water-spaniel). Są to brzydkie, ale poczciwe i pracowite stworzenia, zawdzięczające swój wygląd pudlom i barbetom, z któremi krzyż owano zaginione już dziś spaniele angielskie. Irish water spaniele są dość wysokiego wzrostu o szczupłej niedużej mordce wychylaiącej się z gęstego obramowania loków. Cały korpus jest pokryty bujną wełną, gdy tymczasem ogon jest nagi. Psy te są silne i wytrwałe, tak, że przy polowaniu błotnym oddają wielkie usługi.

Właściwie do psów myśliwskich zaliczyć jeszcze należy terriery; ze względu jednak 1) na szczupłe ramy tej pracy, 2) na przynależność tych psów do innej grupy i 3) na względne tylko ich w łowiectwie zastosowanie—pozwalam je sobie pominąć.

Jan Grabowski.

DZIK.

(*Dalszy ciąg*).

Stakanczyk lubił gwarne i liczne towarzystwo, samotności nie znosił—drażniła go. Lubił gadać, gdy nie miał do kogo — gadał sam do siebie.

— Da, eto mnie nie nrawitsia... Nijakiej zaszczyty: ni rzeki, ni rowu, ni czorta — prosto na pierwszym ogniu stoisz. Tfu kakoj! Popałsia, tak popałsia! Wot kak Polaczok ustroił. „Awoś“ — powiada sobie — „kaban rewizorowi po brzuchu przejedzie i moskala djabli wezmą“. Czekajże, ty gołubczyk, jak ty mnie tak chcesz ustroić, to i ja ciebie nie pożałuję, ja twoje polityczne spiski znam...

Stakanczyk wiedział coś o działalności społecznej pułkownika, już myślał, jak go ukarać, ale się spostrzegł, że wszelkie projekty zemsty bynajmniej nie poprawią sytuacji, jeśli za chwilę odyniec zechce mu szablą brzucho rozpłatać.

— Da, pierwiej trzeba pomyśleć o jakiej fortecy przed wrogiem.

Obejrzał się dookoła. O kilka kroków z tyłu stanowiska czerniał rów głęboki i stromy; w nim może być bezpiecznie, wszak żołnierze w czasie wojny takie właśnie głębokie transzeje kopią i stamtąd strzelają. O kilkadziesiąt kroków wbok wąski pas łączki nadbrzeżnej rozszerzał się, tworząc śród zboża rodzaj polanki, pośrodku której leżała wysoka kupa kamieni.

— Ot choćby tam postawił—byłoby koje-kak...

Przesuwać swego stanowiska rewizor nie chciał, przewidywał bowiem słusznie, że za tą łączką stoi Uchański, do rowu zaś kryć się nie wypadało: będzie widziany przez ogrodnika i narazi się na śmieszność.

Rewizor znów otarł pot obfity. Mundur go prażył, ładownica ciężyła, cisza stawała się dlań nieznośną. Wyławiał dźwięki dalszych odgłosów. W pobliskim lesie gdzieś tam w gałęziach, skrzeczała kraska, to znów dzięcioł pukał monotonnie, a w łubinach, dalej na boku rosnących, czasem derkacz wrzasnął swoje drap-drap! milkł i znów cisza upalna drażniła nerwy i podniecała tętno serca.

Naraz rozległ się na skrzydle donośny głos myśliwskiej trąbki. Głos ten odbity echem o las przeszedł ponad ławicą kłosów i wsiąkał w gąszcze zagajnika. Nie umilkły jeszcze ostatnie tony, a już poderwała się z oddalenia fala wrzasku, świstu i szczęku. Istna orgja piekielnych głosów wstrząsnęła cichym łanem żyta i poważnym borem. To naganka ruszyła na umówiony sygnał. Gajowy zapowiadał przedtem chłopakom:

— Gęby nie żałujta, bośta jej nie kupili, a jak dobrze pójdzie, to dostanieta od dziedzica wódki i śrybła.

Więc podnieśli wrzask, jakby ich kto ze skóry obdzierał, jednocześnie stróż i owczarek krzycząc „huzia! swe! swe“! puścili psy.

Dzielne Burki, Łyski, Kurty i Rozboje, zamknięte całemi dniami w okólniku lub uwiązane przy stajniach, teraz gdy poczuły swobodę, raźno skoczyły w zarośla. Za nimi pognały spokojniejsze owczarki.

Kundysom przodował Zagraj, blizki potomek jakiegoś wyżła czy ogara, miał bowiem krótką sierść, długie uszy i wszelkie skłonności psa myśliwskiego. Szczeniakiem będąc już dusił kurczęta, za co go znienawidziła gospodyni, potem rozszarpywał koty domowe podczas ich nocnych spacerów, wreszcie gdy został zaliczony do obrońców dziedzińca, korzystał tylko z okazji, aby się wyrwać w pole na młode zajączki.

Żagraj ruszył naprzód, nos opuścił ku ziemi i ogonem jął machać z wielkim zapałem. Trzeba szczęścia, że prawie na wstępie pomiędzy młodemi sosenkami napotkał w trawie zająca. Z piersi Zagraja wyrwał się szczek wysoki, ostry i radosny, Wylękniony szarak skoczył naprzód, Zagraj za nim, a cała psiarnia rozumiejąc ważność inicjatywy, rzuciła się z wrzaskiem tuż za tymi dwoma i znikła wśród sosenek i młodych brzózek. Prawie wszyscy byli pewni, że psy ruszyły dzika. Obławnicy chrypli od krzyku:

— Swe! huzia! Weź go! Zabij wieprza! Huziaha! Trzymaj go! Swe!

Myśliwi odwiedli kurki, a przycisnąwszy broń do ramienia czuli dziwne łomotanie serca. Nawet Grzmotnicki uległ wrażeniu.

Tymczasem szarak ogłupiał. Pierwszy raz w życiu słyszał podobną orgję wrzasku, pierwszy raz miał za sobą tylu strasznych wrogów. Zajęcza jego dusza oszalała z trwogi, a wątły mózg stracił zupełnie orjentację. Zamiast skierować się w gąszcze i utrudnić psom pogoń, skręcił ku rzadkiej drzewinie, chwilę pomykał wzdłuż zagajnika, potem wyskoczył z niego, wpadł w żyta i rwał ku lasowi, a psy siedziały mu prawie na karku.

Żyto nie było zbyt gęste, gdy jednak taka rozpędzona czereda weń wpadła, burza powstała w spokojnych trawach. Zając nurkował przodem i sobą jak ostrym klinem przebijał fale zboża, a psy rozszerzały drogę i wichrzyły kłosy. Zdało się, że jakiś potwór targa swem cielskiem ciche i nieruchome łany.

Z kierunku, jaki obrał zając, pędząc ku lasowi, widać było że zmierza wprost na stanowisko Iwana Gilarjewicza.

Spostrzegł to idący na skrzydle obławy Wichrowski, puścił w ruch szpicrutę i leciał w stronę gonionego zająca co koń wyskoczy, krzycząc jednocześnie ile mu sił w płucach starczało:

— Pilnuj dzika! Panie rewizorze, idzie na pana!

Iwan Gilarjewicz miał nerwy napięte wyczekiwaniem do ostateczności, słyszał krzyki naganki, słyszał ujadanie psów, serce łomotało mu jak w pustym garnku. Gdy usłyszał jeszcze tentent i wołanie „Panie rewizorze—idzie na pana“, zdrętwiał prawie. Czuł, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa, że nawet nie będzie mógł uciekać, a ręce się trzęsą... Spudłuje jak amen w pacierzu.

— Hospodi pomiłuj! – wyszeptał drżącemi ustami, przełożył fuzję w lewą ręką, zdjął szybko czapkę i począł się żegnać wybijając pokłony.

— Hospodi spasi!...

(D. c. n.). *Jan Szczepkowski.*

Na łosia.

Pod koniec sezonu myśliwskiego Kółko nasze w Warszawie otrzymało pewnego dnia elektryzującą depeszę:

„Łosie otropione. Wszystko gotowe. Czekam. Golcz“. Wiadomość ta momentalnie została nam rozesłaną, wyjazd miał nastąpić nazajutrz, punkt zborny dworzec 8 wieczór. Tymczasem najniespodziewanie w nocy syn mój zachorował. W tych warunkach ruszyć się nie mogłem. Napisałem list do kolegów, zawiadamiający, że jechać nie mogę, prosząc, aby mnie wytłomaczyli. Po wysłaniu tego listu nie ruszyłem się przez dwa dni z domu. Chory miał się lepiej, nastrój w domu zapanował lepszy. Żyłka moja myśliwska zaczęła się we mnie budzić, a myśl goniła moich kolężków po puszczy. Kiedy tak moja fantazja obiegała całą Grodz'eńszczyznę, otrzymuję depeszę bardzo lakoniczną: „Łosie czekają. Golcz“.—Za dwie godziny, pociąg odchodzi. Rzeczy od kilku dni zapakowane, gotowe. Decyzja wyjazdu momentalna. Dyktuję depeszę z odpowiedzią. Jazda na kolej. O 4 rano byłem już na miejscu. Z pociągu ja jeden wysiadłem. Noc ciemna. Pytam o konie dworskie. Na mój widok podjeżdżają sanie—siadam. Wszystko gotowe — możemy jechać. Woźnica spojrzał na mnie, ale nie rusza z miejsca. Pociąg stał na stacji, więc domyślam się, że czeka na wolny przejazd.

Przez ciekawość pytam: A dużo tam panowie upolowali? Na to on: „Oprócz dziedzica nikogo we

dworze niema". Zimny dreszcz przeleciał po mnie. Coto jest? Co to znaczy? Jakieś wielkie nieporozumienie obym tylko ja nie był powodem.

W pięć par sani ruszyłem z przed stacji. Uprzejmy gospodarz oczekiwał na ganku. Pierwsze jego pytanie: „A gdzie reszta?" Opowiedziałem mu w krótkości przebieg ostatnich dni, sam nie mogąc odgadnąć, dla czego moich towarzyszy tu nie zastaję.

Co będziemy robić? „Polować" — odpowiada z całym spokojem gospodarz. „Wszystko jest zarządzone i odwołać tego już nie można".

Jeszcze prawie ciemno było, gdy ruszyliśmy z przed ganku, prędko mijając zabudowania dworskie, a wyjechawszy za wieś, mieliśmy sposobność obserwowania dwóch wilków wracających od wsi do lasu. Rozkoszowałem się ich widokiem.

Dzień był jasny, kiedy wyjechaliśmy do lasu. Sanna doskonała, mały mrozik i słońce świetnie nas usposobiły. Na drogach leśnych zauważyłem dziwne jakieś znaki, których znaczenia nie rozumiałem. Były to wskazówki objaśniające nas, gdzie i jak mamy jechać. Dopiero o godz. 11 i pół usłyszeliśmy wrzawę psów, co dało nam nadzieję, że nareszcie stajemy u mety.

Była to leśniczówka. Tu zgromadzili się wszyscy gajowi z całego leśnictwa, którzy byli na objazdach i tropili od rana zwierza. Gajowi otoczyli nas kołem i kolejno każdy meldował co widział i co ma pewnego.

Jeden z nich zwrócił moją uwagę: był to, jak się później dowiedziałem, najdzielniejszy z leśników, zamiłowany myśliwy. On w swym rewirze wytropił dwa łosie. Ostęp ten dotykał leśniczówki. Bez namysłu uprzejmy gospodarz dał rozporządzenie na te dwa łosie założyć.

Dostanie się na stanowiska piechotą przedstawiało dość trudności z powodu dużego śniegu i ogromnych zwałów drzew, które tu pewnie od wieków leżały i leżą, a na nich powyrastały nowe drzewa już tak wielkie, że mogłyby imponować naszym lasom. Mimo tych trudności, dostajemy się do naszych stanowisk.

Sygnał. Naganka ruszyła, złożona tylko z gajowych a każdy z nich prowadził po kilka psów. Na odgłos trąbki robię ostatni przegląd broni i gotów czekam z bijącem sercem co dalej będzie. Nad głowami rozpoczął się masowy przelot cietrzewi. Strzały w stronie naganki—to znak, że naganka ruszyła zwierza i odrazu cała zgraja psów odezwała się w miocie.

Dusza mi się radowała słysząc taką muzykę, którą tylko z opowiadań znałem. Wszystko w dość szybkiem tempie zbliżało się do nas i kiedy wytężaliśmy nasz wzrok — gotowi do strzału, doznajemy zawodu, głos gończych zdaje się słabiej do nas dochodzić; naraz zupełnie ustaje. Zapanowała cisza.

Zmartwiony gospodarz daje mi znaki, że już nic z tego nie będzie, ale czekamy dojścia naganki.

W miocie spostrzegamy, że jakiś człowiek biegnie szybko ku nam. Był to gajowy tego ostępu, cały czerwony, zgrzany, aż para od niego buchała. Przemówić nie mógł ze zmęczenia. „Ja panów doprowadzę, proszę biedz za mną". Biegniemy w ślady za nim; po jakimś czasie zaczynamy sami rozróżniać głosy psów. Ta orkiestra magicznie działa na nas, dodaje siły i ze zdwojoną energją pędzimy dalej, padając nieraz w śnieg po pas.

Gra psów coraz wyraźniejsza, coraz głośniejsza. Strzelec nasz ustaje ze zmęczenia, my pędzimy dalej. Przelatujemy około młodego gęstego zagajnika. Gospodarz daje mi znak, abym biegł dalej i w razie możliwości strzału nie czekał na niego.

Już gdzieś blisko. Wypadam z za krzaków i widzę cudowny obraz. Łoś—ten przedpotopowy zwierz, bije się z psami, które nie dają mu dostępu do gąszczu.

Doprawdy, że stałem, jak zahypnotyzowany tym tak przewspaniałym widokiem.

Żałowałem, że zamiast broni, nie zabrałem ze sobą pędzli i farb.

I byłbym tak podziwiał to zjawisko bez końca, gdyby nie komenda gospodarza, która przypomniała artyście, że dziś jest myśliwym.

Strzeliłem, strzał był piorunujący. Łoś skoczył w górę, w skoku zwrócił się w przeciwną stronę, nogi przednie już odmówiły mu podparcia i z rozmachem zwalił się jak kłoda. Był to wspaniały dwunastak.

Franciszek Ejsmond.

Dziwne zdarzenia.

„Był młody, który życie wstrzemięźliwe pędził
Był stary. który nigdy nie łajał nie zrzędził".

— — — — — — — — — — — — — — —

Dziwnych zdarzeń wymienił Krasicki za mało,
Więc wam dzisiaj opowiem, co się jeszcze stało.
Tylko, że u mnie szczera prawda, a nie bajka:
Była kukułka co w swe gniazdo kładła jajka.
Był myśliwy co zawsze ścisłą prawdę mówił,
Był mykita co tylko same myszy łowił,
Paskarz, co towar chował, aby stał się tanim,
Wrona, co widząc gniazdo kurze siadła na nim,
Prasa co drukowała tylko pewne wieści,
Była panna, co rzekła: „skończyłam trzydzieści"
Był tchórz co perfum kupił i zaprzestał kadzić,
Lokator co się z domu przyrzekł wyprowadzić.
Był raz kot, który nigdy nie zamiauczał w marcu
Baba, która nie znała, co druga ma w garcu,
Byli tacy co łgali, a którym się wierzy,
Dobroczyńcy, co żubra dali Białowieży.
Jest autor co za życia gwiazdą chwały świeci,
Bocian, co nieproszony nie przynosił dzieci.
Nastał raj, ludzie, bestje odrzekli się złego,
Stało się to naprawdę... na kwietnia—pierwszego.

Wł. Janta-Połczyński.

Sprawy bieżące.

Jak nas informują opłata za broń w Warszawie wynosi:

1) opłata stemplowa 3.800.000
2) zaświadczenie na rewolwer lub dubeltówkę 3.800.000
3) karta łowiecka—opłata skarbowa 16.000.000
4) opłata za druk po 500 tysięcy.

Kronika myśliwska.

Dnia 2 lutego b. r. odbyło się u Państwa Łowickich w Grodzieńskim pod Mostami polowanie na dziki z 7 strzelb z udziałem Pań. W I i jedynym tylko zakładzie padły 3 dziki. Pogoda od rana była mroźna i wietrzna, a gdy zaczął padać śnieg, polowanie musiano przerwać.

Wzorowe zorganizowanie polowania należy zawdzięczyć p. St. Łowickiemu i zaproszonem przezeń leśniczemu lasów państwowych panu Rogalewiczowi. Wogóle wynik polowania mógł być znacznie lepszy i sami tylko myśliwi są winni że wzbogacić rozkładu niemogli.

Gospodarze, Państwo Łowiccy z nadzwyczajną serdecznością gości swych podejmowali dając chlubne świadectwo o staropolskiej gościnności, która szczególnie tam na kresach w całej swej kwitnie jeszcze szczerości. Za gościnę tą, zaproszeni z Warszawy myśliwi serdeczne składają Bóg zapłać.

Wł. Tomaszewski.

Walka z kłusownictwem.

Rubrykę powyższą, jako stałą, wprowadzamy z dniem dzisiejszym, prosząc Sz. Czytelników o jaknajliczniejszy do niej materjał, który odpowiednim władzom będzie w ten sposób komunikowany. Zaprowadzimy również rubrykę p. t. „Groch o ścianę“, w której podawać będziemy ważniejsze nadużycia myśliwskie aż do czasu załatwienia ich przez władze.

Wieluń, dnia 11.III 1924 r.

W dniu 6 marca r. b. posterunkowy Policji Państwowej w Sokolnikach, pow. Wieluńskiego, Jan Mizgała, będąc w obchodzie służbowym we wsi Czastary. usłyszał wystrzał w stronie tartaku, należącego do Franciszka Łydki. Udawszy się w tym kierunku, zauważył w pobliżu zabudowań mężczyznę z bronią, zbierającego na śniegu kuropatwy. Osobnika tego, wraz z fuzją i 7 zabitemi kuropatwami, zatrzymał i odstawił do Starostwa w Wieluniu. Przeprowadzone dochodzenie ustaliło, że jest to Antoni Czech, robotnik wymienionego tartaku. Fuzja, z której Czech strzelał, należy do Teofila Szukały, gospodarza ze wsi Tyble, posiadającego pozwolenie na broń myśliwską i prawo polowania. Zaznaczyć należy, że właściciel tartaku, Franciszek Łydka, u którego pracuje Czech, również posiada broń myśliwską w celach polowania i że niejednokrotnie, dniem i nocą w tej miejscowości dały się słyszeć strzały. Z tego wynika, że nietylko kłusownicy, lecz i posiadający broń legalnie, bądź osobiście bądź za pośrednictwem osób trzecich, w czasie zakazanym, najswobodniej polują sobie dniem i nocą i tępią dość już rzadką w tutejszym powiecie zwierzynę. A podobnych do zanotowania wypadków znalazłoby się więcej i nic dziwnego, boć przecie małorolni gospodarze zwykli traktować broń myśliwską czysto ze stanowiska dochodowego, i dla tego, zamiast uprawiania racjonalnego polowania, polują cały rok. Odpowiedzialność za taki stan rzeczy, w pewnej mierze, ponoszą miejscowe władze administracyjne, które za małym wyjątkiem, petentom chętnie wydają zezwolenia na broń myśliwską i prawo polowania, o ile tylko ci przedstawią kontrakt dzierżawy polowania. Za dowód posłużyć mogą cyfrowe dane, które wykazują, iż w 1923 r. Starostwo Wieluńskie wydało kart łowieckich 274, a pozwoleń na broń myśliwską 314, z czego 40 dla własnej obrony. Jednej tylko wsi Kraszkowice przypadło 12 takich pozwoleń i 2 karty łowieckie.

W takich werunkach zwierzyny być nie może, o ile władze systemu wydawania pozwoleń nie zmienią. Zdaje się, że dla własnej obrony — broń myśliwską z powodzeniem możnaby zastąpić bronią krótką.

R. Kuczamer.

W miesiącach styczniu i lutym ubito 5 wiejskich kundli polujących samopas, odebrano 9 sztuk broni kłusownikom, ujęto 2-ch klusowników z bronią w ręku.

Nadleśnictwo Knyszyńskie *inż. N.*

Korespondencje.

Z ziemi puławskiej.

Chociaż „Łowiec Polski“ Nr. 2 wyjaśnia, że art. 16 (Dziennik Ustaw Nr 94 z roku 1923 poz. 741) jest przedwcześnie stosowany przez Rady gminne, jednak jest, i Rady gminne nader pochopnie korzystają z niego, nakładając opłaty na tereny łowieckie, wprost absurdalne. Być może dla Towarzystw i Klubów Myśliwskich, posiadających obszary własne, lub korzystających z terenów myśliwskich rządowych i mających kapitały zapasowe, nie będzie ten podatek nadmiernym ciężarem, lecz dla nowopowstających, zdemokratyzowanych kółek myśliwskich, uprawiających łowiectwo przeważnie tylko na terenach dzierżawionych, a głównie dla 1-go Włościańskiego Koła Myśliwskiego, któremu ja przewodniczę, podatek ten jest wprost zabójczy. Mianowicie: Członek czynny I-go W. K. M. w Wylągach w myśl § 1 Statutu musi posiadać 500-morgowy teren myśliwski, jako minimalny. Rada zaś mojej gminy Celejowskiej obłożyła każdą morgę terenów myśliwskich 5-ma groszami podatku, co wynosi na każdego czynnego członka Koła, posiadającego tylko 500-morgowy teren 25 złotych polskich, czyli 45 miljonów marek rocznie. Czynsz dzierżawny płacony danej wiosce wynosi od 20 do 30 miljonów. Prośby do Starostwa, opłata biletu na broń, karty łowieckiej i składki członkowskiej wynosi także od 20 do 30 miljonów marek, czyli razem wypada przeszło sto miljonów opłaty na przeciętnego czynnego członka Koła. Zarząd zaś Koła, mając na celu ochronę zwierzyny, usilnie propaguje dzierżawienie jaknajwięcej terenów. Są więc członkami Koła posiadający 2 do 4-ch tysięcy mórg terenów, prowadząc racjonalną ochronę zwierzyny i ci, za przysparzanie krajowi bogactwa, muszą jeszcze opłacać podatek. O ileż

ponętniej przedstawia się dla większości naszych, budzących się dopiero do życia społecznego włościan, nie posiadających tradycyjnej etyki myśliwskiej nie należeć do Koła, posiadać broń tajnie i kłusować. W najgorszym razie przyłapany przez policję, postrada samopał i zapłaci administracyjnie od 2 do 5 miljonów grzywny. Ten podatek stanowczo stworzy nowe kadry kłusowników, a szkoda bo w Starostwie Puławskim, zawdzięczając bardzo energicznemu działaniu pana starosty A. Barnata, przy udziale p. referenta bezpieczeństwa publicznego B. Pawłowskiego i wielkiej czujności p. komendanta policji R. Leśniewskiego, kłusownictwo zupełnie przeszło i zwierzostan bardzo się polepszył; w czem część zasług należy się także zarządowi I-go W. K. M. w Wylągach i jeżeli nowa ustawa opodatkowania polowań wejdzie w życie, nie mogąc nadal przyjmować na siebie moralnej odpowiedzialności za działalność członków Koła, których obecnie liczymy 110, będę zmuszony zrezygnować z przewodnictwa.

Rodzi się pytanie: dlaczego właśnie polowanie jest tą solą w oku panów stwarzających nowe ustawy podatkowe? Czyż nie lepiej byłoby zwrócić uwagę Rad gminnych ua całe zastępy różnych komisjonerów i paskarzy, jeżdżących po wsiach i skupujących wszystko, od jajka do tuczonej nierogacizny i tych obłożyć podatkiem komunalnym, bo ci strzelają bez pudła.

Jeżeli słowa moje nadają się do druku, to najuprzejmiej proszę o zamieszczenie w sympatycznym Pańskim piśmie, mojej korespondencji. Może przytoczone przezemnie zdania zwrócą choć trochę uwagę tych, którzy będą normować stopę podatkową od terenów myśliwskich.

Łącząc myśliwskie pozdrowienie, zostaję z głębokim szacunkiem

Józef Ślósarski.

Wylągi d. 27/II 1924 r.
Poczta Kazimierz n/Wisłą.

Sprawozdanie łowieckie z Rzeszowa.

Nadmiernie długa i śnieżna zima, jaka Polskę w tym roku nawiedziła, odbije się z pewnością najfatalniej na stanie drobnej zwierzyny łownej. Zginą kuropatwy, bo je jastrzębie-gołębiarze i chłopi wyniszczą lub w najlepszym razie ocalą się tylko pojedyńcze i wycieńczone ich sztuki niezdatne do rozwoju. Były u nas wypadki, że kuropatwy ścigane przez gołębiarza, wlatywały przez sień do chat chłopskich. Jaki je wtedy los spotykał, domyśleć się łatwo. Na rynku w Rzeszowie sprzedawały wieśniaczki kuropatwy po 3 miljony za parę. Kupowali je oczywiście żydzi... Jedynym ratunkiem dla tych ptaków jest wyławianie ich jesienią zapomocą sieci i przetrzymywanie przez zimę w kojcach. Puszczone na wiosnę parkami, dostosują się łatwo do naturalnych warunków życia i wywdzięczą się hodowcy wyprowadzeniem licznego potomstwa. Tylko ten sposób ratowania kuropactw może zapobiedz wszelkim ewentualnościom zimy.

Zające należało teraz intensywnie karmić. Kto je w jesieni i w zimie strzela, musi je — w czasie krytycznym, kiedy grube warstwy zlodowaciałego śniegu pokrywają oziminy, kiedy matki zajęcze, nosząc płód, potrzebują pokarmu, żywić i pieczołowicie ochraniać. Nie karmione zginą z głodu lub padną ofiarą kłusownika, strzelone w sadzie przy rozrzuconem sianie z okna lub z za węgła, lub schwytane w drucianą pętlę. Zające zgłodniałe i osłabione są mniej płochliwe i dają się łatwiej podejść. Kłusownicy polują na nie w czasie ochronnym w lutym i w marcu niejednokrotnie w dzień biały. Oto niedawno, bo 24 lutego w niedzielę po południu polowali chłopi na polach Raniżowa pod Werynią, podjeżdżając na saniach do widocznych na śniegu zajęcy i strzelali je z dziwną zapalczywością. Ani serca, ani sumienia, ani nawet zrozumienia własnego interesu dopatrzeć się w takiem postępowaniu nie można. A cóż mówić o poszanowaniu dla prawa? Czyż można w takich warunkach hodować zwierzynę? Na co zdadzą się wszystkie wysiłki ludzi dobrej woli, podejmowane dla hodowli z nakładem olbrzymich kosztów i pracy? Rozbiją się one o pierwotne niszczycielskie instynkty obywateli z pod strzechy..., którzy dla marnej materjalnej korzyści, dla zadowolenia rządzy niszczenia nie wahają się tępić tego, co troskliwie ochraniać powinni. Jakże daleko naszemu ludowi do kultury narodów zachodnich! Jakże zanikło w nim poczucie cudzej własności.

Z terenów łowieckich w powiecie rzeszowskim najlepiej przedstawiają się tereny tych właścicieli lub dzierżawców, które są dobrze strzeżone, a zatem wolne od plagi kłusowniczej przynajmniej częściowo. Do nich zaliczam przedewszystkiem Staromieście p. Jana Jędrzejowicza, Rudnę Wielką p. Stanisława Dąmbskiego i Świlcze — p. D-ra Adama Midowicza.

Na polowaniach zbiorowych, urządzanych przez p. Jędrzejowicza w gminach Trzebowisko, Zaczernie, Przybyszówka i Staromieście padło w dniach 17-go grudnia 1923 i 17 stycznia 1924 w kotłach w strzelb mniej więcej 10 zajęcy: 297; w lasach zaś w tym samym majątku padło w dniach 18 i 28 grudnia, 16 i 18 stycznia zajęcy 94, lisów 3.

Tereny polne w Staromieściu bardzo dobrze strzeżone—liczna straż pilnuje ich w dzień i w nocy, leśne, mimo opieki, nawiedzają kłusownicy ze strzelbą lub z sidłami. W obecnym czasie dla zajęcy krytycznym karmi je koniczyną i sianem p. Jędrzejowicz, spełniając ten obowiązek hodowcy.

W Rudnej Wielkiej u p. St. Dąmbskiego padło w dniu 21 listopada 1923 w 4 strzelby: 37 zajęcy. Świetny ten rezultat świadczy o dobrej kulturze łowieckiej mimo, że obszar łowiecki Rudnej otaczają polowania gminne, dzierżawione przez kmiotków, wybijających u siebie wszystko do nogi.

Na polowaniu w Świlczy u p. D-ra Midowicza ubito w dniu 1 grudnia 1923 w 17 strzelb zajęcy 82. Rezultat również bardzo dobry, dzięki czujnej straży i gorliwej opiece dzierżawcy.

O innych polowaniach nie piszę, bo jeszcze nie ciekawe.

Być może, że za lat kilka, gdy się oświata ludu podniesie, gdy się ustalą stosunki prawne i gdy nastanie zupełny dobrobyt, przyjdą i dla zwierzyny lepsze czasy tem pewniej, że warunki przyrodnicze dla jej rozmnoży są tutaj wprost świetne.

Władysław Gürtler.

Rzeszów, w lutym 1924.

Listy do Redakcji.

W sprawie udziału polskich strzelców w Olimpjadzie.

Akcja wszczęta w tej sprawie przez Polski Związek Myśliwych w Poznaniu jest niedostateczną.

Nie wszyscy mogą sobie pozwolić na koszta wyjazdu do Poznania na te zawody a następnie złożenia kwoty (żądano!) na pokrycie kosztów wyjazdu na Olimpjadę.

Inne związki wysyłają zawodników na własny koszt i w tym celu zbierają pieniądze, a pieniądze najprędzej moznaby pozbierać, u myśliwych składających się przeważnie z ludzi bogatych, zapomocą dzienników (Łowiec, Łowiec Polski, Przegląd Myśl. i Łow. Polskie).

Następnie powinien Związek podzielić Polskę na okręgi a to: Lwów, Warszawa i Poznań (tam gdzie najbardziej rozwnięte myśliwstwo), i polecić urządzenie zawodów (w kwietniu) we Lwowie M. T. Ł., w Warszawie Centr. Zw. Pol. St. Łow. a w Poznaniu P. Z. M.

Z tych strzelców wybrać sześciu z każdego okręgu i w maju urządzić strzelanie przedolimpijskie (3 okr. po 6 strz. — 18 strzelców) i z tych wybrać na olimpjadę sześciu.

Tym sposobem uniknie się wielkich kosztów i najprędzej wybierze się najlepszą reprezentację. *T.*

Protokół z Walnego Zebrania Centralnego Tow. Kinologicznego.

Zebranie Walne Centralnego Towarzystwa Kinoogicznego w Poznaniu odbyło się w salce posiedzeń w lokalu p. Jarockiego przy ul. Masztalarskiej dnia 27.II o godz. 16-tej z następującym porządkiem obrad.

1. Zagajenie.
2. Odczytanie protokółu z ostatniego Walnego Zebrania.
3. Sprawozdanie Zarządu za rok 1923.
4. Wybór Zarządu na rok 1924.
5. Wykład na temat „Racjonalna hodowla wyżłów dowodnych“.
6. Zmiana § 6 ustawy.
7. Sprawa Księgi Rodowodu polskich wyżłów dowodnych.
8. Omówienie egzaminu wyżłów młodocianych.
9. Wolne głosy.
10) Zakończenie.

ad 1). Zebranie zagaił prezes towarzystwa, witając obecnych.

ad 2). Sekretarz odczytuje protokół ostatniego Walnego Zebrania, który nie znalazł sprzeciwu.

ad 3). Prezes podaje krótkie sprawozdanie z działalności towarzystwa w roku 1923, wspomina o wylosowaniu wyżlicy odbytem między członkami, o konkursie wyżłów dowodnych, przyczem przedstawia zebranym konieczność rozszerzenia konkursu do 2 dni. Zebrani godzą się na zmianę tą. Następnie komunikuje prezes, że wysłał na ręce p. wojewody do ministra rolnictwa prośbę, o ustanowienie stałej nagrody państwowej dla treserów, których wyżły na publicznym konkursie wykażą znakomitą umiejętność. Również komunikuje prezes, że p. Prezydent Rzeczypospolitej, zaprosił do Spały członka Centralnego Towarzystwa Kinologicznego, p. Raszkego, celem przedstawienia premjowanej na drugim konkursie wyżlicy „Niksy“.

Prezes wyraża głębokie zadowolenie, że idea wyżła dowodnego w ten sposób tak chlubnego doznała uznania i poparcia.

ad 4). Na rok 1924 wybrano tem sam zarząd

ad 5). Prezes wygłasza wykład na temat „Racjonalna hodowla wyżłów dowodnych“. Zajmująca treść tego wykładu odnosiła się do tak ważnych dla hodowli wyżłów dowodnych zasad omawianych z punktu naukowego, jako też praktycznego. Zebrani zabierali w dyskusji nad niektóremi punktami wykładu głos.

ad) 6). Uchwalono zmienić § 6 ustawy. Stawkę roczną podwyższono na 6 złotych, względnie 3 złote dla leśników zawodowych etc. podług kursu franka waloryzacyjnego.

ad 7). W sprawie „Księgi Rodowodowej“ po obszernej dyskusji uradzono przystąpić do zaprowadzenia księgi rodowodowej polskich wyżłów dowodnych narazie w formie pisanego dokumentu, pana majora Dolnera z Poznania, ul. Wielkie Garbary 24 uproszono do prowadzenia tej księgi. W dalszym ciągu uchwalono przychylić się do wniosków niżej podanych członków o zastrzeżenie nazw ich hodowli wyżłów dowodnych, mianowicie:

Pan A. Zelleber z Poznania wnosi, aby hodowla jego nosiła przydomek „*Z Poznania*“.
Protokół z Walnego Zebrania Centralnego Towarzystwa Kinologicznego—1.

Pan Bromnitz z Starego Tomyśla wnosi, aby hodowla jego nosiła przydomek „*Z puszczy*“.

Pan Raszke z Powałek wnosi, aby hodowla jego nosiła przydomek „*Z Łowieckiego Dworu*“.

Pan I. Jasiński z Strzelna wnosi, aby hodowla jego nosiła przydomek „*Z nad Gopła*“.

Pan Siudzik z Poznania wnosi, aby hodowla jego nosiła przydomek „*Z nad Warty*“.

Prezes prosi członków o nadesłanie dokładnej daty urodzenia i, o ile możności fotografję wyżłów premjowanych.

ad 8). Prezes porusza sprawę egzaminu wyżłów młodocianych. Uradzono egzamin taki urządzić dopiero w roku 1925; następnie wybrano komisję składającą się p. p. Niedbała, Zellabra i Siudzika dla wypracowania regulaminu egzaminu wyżłów młodocianych. Również uchwalono, aby nie przyjmować do konkursu wyżłów zanim kandydaci nie ukończą 18 miesięcy życia, do egzaminu wyżłów młodocianych przyjmować się będzie kandydatów urodzonych w roku poprzednim.

ad 9). Pan Raszke podaje do wiadomości, że na Pomorzu w najbliższej przyszłości, powstanie towarzystwo kinologiczne na podstawie ustaw i regulaminu Centr. Tow. Kinologicznego.

ad 10) Po wyczerpaniu porządku obrad prezes zamyka posiedzenie.

RYBOŁÓWSTWO.

Projektowana obecnie ustawa o ochronie rybołówstwa składa się z 6 rozdziałów: o rejestracji rybaków i narzędzi rybackich, o ochronie rybostanu, o przepławkach i obwodach ochronnych, o władzach rybackich, o postępowaniu, o karach i przepisy końcowe.

Rozdział I podaje definicję „łowienia ryb" i wprowadza rejestrację rybaków i narzędzi połowu na wzór pr. ustawy rybackiej i galicyjskiej ustawy o rybołówstwie.

Konieczność reglamentacji stosunków gospodarczych w zakresie rybactwa została stwierdzona drogą szczegółowych badań, które były prowadzone w rozmaitych krajach w połowie zeszłego wieku, kiedy wszędzie został stwierdzony zanik rybołówstwa. Szczególnie na wymienienie zasługują kilkunastotomowe sprawozdania rządowej komisji w Rosji, oraz prace komisji rządowej w Ameryce.

Na podstawie tych prac zostało stwierdzone, że zanik rybołówstwa jest wynikiem połowu ryb młodych, którym nie dano jeszcze się rozmnożyć, następnie skutkiem tępienia tarlaków na drodze ku tarliskom lub podczas tarła, gdy ryby podniecone tracą zdolność unikania niebezpieczeństwa. Jako środki zaradcze wskazano 2 sposoby postępowania; jeden drogą ograniczenia właścicieli rybołówstwa w prawie łowienia ryb, przyczem te ograniczenia idą w 3 kierunkach: ograniczenia czasu połowu, ograniczenia sposobu połowu i ograniczenia miejsca połowu, drugi zaś sposób polega na stosowaniu obok tych ograniczeń—masowego zarybiania wód młodzią wylęgniętą ze sztucznie zapłodnionej ikry w specjalnych wylęgarniach.

Na tej podstawie zaczęła się rozwijać akcja podniesienia rybołówstwa, któremu grozi zanik. Najlepsze rezultaty osiągnęła Ameryka, stosując przeważnie metodę masowego zarybiania wód na koszt Skarbu Państwa, lecz obok tej metody zostały wydane ustawy ograniczające połów ryb i wprowadzające kontrolę policyjną (Act for protection and relation of the fisheries of Alaska z 26.VII 1906). Państwa na kontynencie dopiero przed wojną zaczęły zwracać uwagę na wyniki akcji zarybiania w Ameryce i ograniczyły swoją ingerencję jedynie do stosowania zakazów i ograniczeń; prawodawstwa wszystkich krajów posiadają odnośne ustawy.

Źródłem uprawnień władzy do wkroczenia do życia gospodarczego i narzucenia właścicielom rybołówstwa przepisów ograniczających swobodę użytkowania ich własności jest okoliczność, że gospodarstwo rybne ma charakter społecznego dobra, a przedmiot rybołówstwa — ryby nie są ściśle do danego objektu przywiązane, wobec czego właściciel rybołówstwa nie może rościć pretensji do absolutnego rozporządzenia prawem połowu, a państwo w interesie ogólnym winno dbać o utrzymanie rybostanu na pewnym poziomie.

Poszczególni właściciele prawa rybołóstwa na terenie całego państwa są złączeni wspólnemi interesami, lecz wyrazicielem tych interesów i ich obrońcą może być jedynie władza państwowa lub przymusowy związek gospodarczy drogą ustawy powołany do życia, gdyż stworzenie związku gospodarczego na zasadach dobrowolnych nie jest do pomyślenia i kwestję takiej wagi, jak produkcja rybna w kraju nie można czynić zależną od dobrej woli i zrozumienia poszczególnych jednostek.

Że produkcja rybna ma poważne znaczenie praktyczne dla państwa Polskiego wskazują następujące cyfry: Obszar wód państwa polskiego przy średniej produkcji mógłby dostarczyć według niektórych obliczeń 60 miljonów klg. obecnie zaś daje tylko 15 miljonów klg.

Natomiast do kraju przywozi się z zagranicy około 100 miljonów klg. ryb, wartość których równała się w I-szym kwartale 1922 r. wartości wywiezionego drzewa surowego, ropy surowej lub tkanin bawełnianych.

Zadnej akcji gospodarczej, skierowanej na podniesienie produkcji nie można rozpocząć bez poprzedniego uregulowania ochrony posiadanego rybostanu i uregulowania stosunków prawnych.

Centralnym jest rozdział II o ochronie rybostanu, wzorowany na pruskiej ustawie rybackiej i uzgodniony z ustawą galicyjską, rybacką. Najważniejszym tu jest art. 14, dający Ministerstwu Rolnictwa szerokie upoważnienie w zakresie wydawania przepisów obowiązujących co do wielkości poławianych ryb, narzędzi i sposobu połowów. Sposób ten jest praktykowany we wszystkich ustawach, gdyż przepisy odpowiednie muszą być bardzo sprężystemi i ciągle będą się zmieniały. Pozatem w ustawie jest niemożliwem ujęcie ciągle zmiennych w czasie i przestrzeni warunków eksploatacji rybołówstwa. Nawet w rozporządzeniach Ministra szereg praw zostaje delegowany wojewodom, gdyż trudnem jest określać czas tarła lub wymiaru narzędzi, które są w rozmaitych dzielnicach odmienne.

Do tego rozdziału odnoszą się nadto częściowo uwagi przytoczone jako uzupełnienie do rozdziału I.

Rozdział III obejmuje przepisy o przepławkach i obwodach ochronnych. Wzorem dla tych przepisów były postanowienia pruskiej ustawy rybackiej i galicyjskiej ustawy o rybołówstwie przy uwzględnieniu zagadnień natury teoretycznej i wskazówek praktyków.

Rozdział IV traktuje o władzach rybackich i postępowaniu. Przepisy tego rodzaju poszły dalej niż obowiązujące ustawodawstwo pruskie i małopolskie.

Stało się to w celu jaśniejszego postawienia kwestji stanowiska inspektorów rybackich, instruktorów rybackich, dozorców rybackich i władz policyjnych. Odnośne bowiem przepisy ustawodawstwa pruskiego i małopolskiego były w wielu kwestjach niejasnemi, a w wielu wypadkach budziły poważne wątpliwości w praktyce.

Postępowanie zaś w sprawach rybackich normuje projekt z tego powodu, że władze administracyjne b. zaboru rosyjskiego cierpią na brak sił kwa-

lifikowanych — siłom zaś mało kwalifikowanym trudno jest orjentować się w rozrzuconych w ustawodawstwie polskiem przepisach o postępowaniu wogóle, a o postępowaniu karno-administracyjnem w szczególności.

Jest to jednak tylko czasowe unormowanie kwestji postępowania aż do chwili wydania specjalnych przepisów o postępowaniu w sprawach administracyjnych a w szczególności w sprawach karno-adminisrtacyjnych. Nadto nadmienić należy, że projekt załączonej ustawy obejmuje nietylko postępowanie w sprawach karnych, lecz i wszystkich innych, jakie z przepisów niniejszego projektu i dalszych części ustawy wyniknąć mogą.

W rozdziale V zamieszczono przepisy o karach. Najważniejszem jest tu określenie wysokości kar. W myśl art. 30 niniejszego projektu ustawy uzyska Minister Rolnictwa i D. P. prawo corocznego regulowania wysokości opłat za karty rybackie z uwzględnieniem każdorocznych warunków. Tak ustalona wysokość ma służyć za mnożną przy wymierzaniu wysokości kar — mnożnikiem zaś w każdym poszczególnym wypadku będzie stopień winy przekraczającego przepisy ustawy.

Rozdział VI zawierający przepisy końcowe, eluminuje z pod przepisów załączonego projektu ustawy sztuczne stawy i inne sztuczne zbiorniki założone dla hodowli ryb, a to ze względów zasadniczych niewdzierania się przez państwo zbyt daleko w sprawy własności prywatnej jednostki; zawiera on nadto określenie obszaru, na którym niniejsza ustawa obowiązywać i sposób rozszerzania jej na tereny innych województw.

Planowanem to jest zaś dopiero po uskutecznieniu i ziszczeniu się warunków przedstawionych w części pierwszej niniejszego uzasadnienia.

Józef Borowik.

Porady dotyczące broni i amunicji.

Z powodu dużego zainteresowania, jakie budzi wśród ogółu czytelników niniejszy dział, zmuszeni jesteśmy wytłomaczyć, że w poprzednim Nr. 6 „Przeglądu“ rubryka ta nie była wydrukowana ze względów czysto technicznych.

W Nr. 5 „Przeglądu“ zatrzymaliśmy się na broni bezkurkowej nowego typu, jaki wypuściła na rok bieżący fabryka Anciens Etablissements Pieper.

Broń ta z punktu widzenia fachowego w stosunku do swej ceny w zupełności zasługuje na uznanie i na uwagę mniej zamożnych kolegów-myśliwych.

Po za bronią śrótową jak już pisaliśmy fabryka wyrabia flobery i rewolwery.

Floberów robi dotychczas dwa gatunki: pierwszy, do ładunków trojakiego rodzaju, a mianowicie floberowych 6 m/m zwykłych, bocznego ognia kaliber 22 (z prochem) krótkich i takich samych jeszcze silniejszych kaliber 22 long.

Floberki te strzelają precyzyjnie z ładunków pierwszego rodzaju na kroków 40, drugiego rodzaju do kroków 80 a z trzecich na dystans powyżej 100 kroków.

Drugi rodzaj floberu jest to znany *półautomat* „Bayard“ na ładunki bocznego ognia kaliber 22 long bezdymne, bijący bardzo dokładnie na dystans wyżej 100 kroków.

Sztucerek ten jest bardzo sympatyczny, gdyż wyklucza jedno niemiłe działanie dla strzelającego a mianowicie, wyjmowanie wystrzelonych gilz, gdyż czynność ta po strzale załatwia się automatycznie.

W roku bieżącym fabryka wypuści nowy 10 strzałowy automatyczny, tego kalibru co powyższy sztucerek, nad którym pracuje już od roku.

Po obejrzeniu pierwszych modeli nieomieszkamy w swoim czasie podzielić się swemi spostrzeżeniami z Czytelnikami.

W następnym numerze „Przeglądu“ pomówimy obszerniej o pistoletach automatycznych „Bayard“ wyrabianych przez fabrykę „Anciens Etalissements Pieper“.

S. C.

Rozmaitości.

Rekord rybołówstwa.

Donoszą z Londynu, że w tych dniach do portu Aberken przywieziono 820 tonn ryb wartości 46.000 funtów szterlingów, co stanowi rekord od czasu ukończenia wojny.

W sprawie Konkursu Myśliwskiego.

Wobec zapytań, dotyczących szczegółów Konkursu Redakcja zawiadamia, iż oprócz prac nagrodzonych nadesłano jeszcze 11 prac, z których niektóre dużej wartości będą drukowane w „Przeglądzie Myśliwskim i Łowiectwie Polskiem“. Najwięcej prac nadesłano do działu wspomnień myśliwskich, z nich szereg bardzo ciekawych.

Wskutek bardzo dużej ilości materjału posiadanego przez Redakcję, prace konkursowe drukowane będą kolejno.

Pierwszą, którą dajemy naszym Czytelnikom — to świetna, pierwsza polska monografja „Cietrzewia“ pióra Włodz. Korsaka.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI.

P. Siadkowski. (Tow. Ochrony Łowiectwa na powiat Kościerski. — Kościerzyna(. — Radzimy przyłączyć się do P. Z. M. w Poznaniu, Wały Leszczyńskiego 48. O warunkach i wysokości składek poinformuje Sz. Pana p. Wł. Janta Połczyński, Wielkł Łowczy (adres powyżej dany).

Redaktor Naczelny: Juljan Ejsmond. **Komitet Redakcyjny:** Gen. Bronisław Grąbczewski, Józef Błeszyński, Wł. Janta Połczyński, Włodzimierz Korsak i Józef Gieysztor.

Redaktor przyjmuje od godz. 1 — 2 w poniedziałki w mieszk. prywatnem Pl. Trzech Krzyży 12 m. 3a.

Redakcja i Administracja: Szpitalna 12. Warszawa.

Numer pojed.—**1 miljon** mk. Prenumerata kwartalna (z odsył. do domu)—**5 miljonów** mk.; Konto czekowe w P.K.O. № 7595.

Cena ogłoszeń: strona—**40 złp.**; 1/2 str.—**25 złp.**; 1/4 str. **15 złp.**; 1/8 str.—**8 złp.**; 1/16 **5 złp.**